Pamiętniki

KSIĘDZA PSTROKOŃSKIEGO

kanonika katedralnego

Gnieznieńskiego

z

rękopismu wydane

przez

EDWARDA RACZYŃSKIEGO.

W WROCŁAWIU,
nakładem Zygmunta Schlettera.
1844.

Wstęp.

W przedmowie do Tomu I^{go} Obrazu Polaków i Polski wynurzyłem myśl moją, że dla wykazania, jakiém było mniemanie publiczne i duch narodu Polskiego w XVIII^{m}. wieku, przenosić się należało myślą w publiczne i prywatne przodków naszych życie. W rozwinięciu téj myśli, wydałem w poprzednich tomach niniejszego zbioru życiopisy ludzi sprawami publicznemi zajętych; dziś ogłaszam pamiętniki kapłana księdza Pstrokońskiego.

Inna jest barwa tego pisma, inna dążność jak w poprzednich tegoż zbioru pamiętnikach. Autorowie tamtych gromadząc opisy współczesnych dziejów narodowych przeznaczali je dla potomności. Ks. Pstrokoński zawsze bogobojny, zawsze ostrożny, a czasem i trwożliwy kapłan, nie troszcząc się bynajmniéj o to, co się opodal niego działo, spisywał zdarzenia i stósunki swego życia dla własnéj pamięci, albo też dla użytku najbliższych krewnych, chcąc ich nauczyć, jakim sposobem przy wytrwałości, nauce i pracy, można się chleba dorobić.

Z natury rzeczy pamiętniki takie byłyby bardzo oschłe, gdyby los nie był zbliżył księdza Pstrokońskiego do osób, które w jego czasie ważne w kraju na-

szym zajmowały miejsca. Bez żółci więc w pokorze i miłości ewanjelicznéj opisuje on żywoty arcybiskupów, Łubieńskiego, Komorowskiego, Podoskiego, oraz biskupów Młodziejowskiego i Ostrowskiego, uważając ich przecież z jednéj tylko, to jest z dobréj strony i nie wglądając wcale w tajne i wewnętrzne najważniejszych działań powody. Nagana rzadko kiedy wyśliźnie się z pod pióra księdza Pstrokońskiego; nieprzyjacielem jest tylko takich, którzy stanu, albo sukienki kapłańskiéj nie szanowali. Na tenczas ów bogobojny kapłan oburza się nieco, i łaje tych, którzy w Lewicie nie czczą Jehowy.

Ciekawe to w mniemaniu naszém pismo z czasów Stanisława Augusta przy-

pomni nie jednemu z starszych czytelników naszych cechę już dziś podobno zatartą staropolskich prostego ducha kapłanów, rzuci niejakie światło na dzieje téj epoki, a pisarzom powieści wskaże podobno nie jeden rys zajmujący z życia narodowego Polaków w drugiéj połowie XVIIIgo wieku.

Wdyawca.

Pamiętniki Księdza Pstrokońskiego.

ROŹDZIAŁ I.

—

Piérwsze początki i wychowanie.

Opatrzność Pana Boga wielbię, gdy moje życie opisuję. Odkrywając maluczkie piérwiastki stanu mego cnotą pokory, a głosząc podniesienie moje na kanonika Gnieźnieńskiego cnotą wdzięczności, wieczne przeznaczenie pochwalam. —

Pochodzę z familiji, na którą, bądź prawo było sejmiku Siéradzkiego, bądź hasło powszechne niosło, „Pstrokońskim dóbr nieprzedawać, aby z nich szlachtę nie wykupili.“ Z niéj mówię urodziłem się, już znacznie na fortunie upadającéj

roku 1713. dnia 1°. Stycznia, we wsi Piekarach, z ojca Stanisława i matki Konstancyji Grodzyńskiéj. Na wsi téj, zacząłem z bracią starszymi, Antonim (który wkrótce umarł), Andrzejem i Franciszkiem, piérwsze elementa nauk; potém z niemi do szkół pijarskich do Wielunia oddany zostałem. W krótce potém ojciec nasz w Masłowicach umarł, pochowany w Wieluniu u OO. reformatow, jakoś roku 1720.

Matka moja, niech Pan Bóg świeci nad jéj duszą, starała się ile mogła dzieci swoje, to jest: nas trzech synow utrzymować w szkołach u XX. pijarów i inspektora nam chować: mowię ile mogła, bo jéj ciężko było wystarczyć na nas, i na czwartą córkę, siostrę moją Katarzynę, która potém została żoną Mikołaja Święcickiego, posesora wsi Świérczyńska. Taka szczupłość intraty, była przyczyną, że się musiało uczyć w zimnie, aż ręce puchły i nogi; futerko moje

najprzedniejsze było baranie skórki i łętwaliki; najprzedniejsza sukiénka z podłego sukna, albo kamlociku po złotému; bót często łatany na po deszwach, a często nim gołe palce wytykały. Wikt był taki: sniadanie na smelce, obiad na kawałku mięsa, albo kurzyny, kawałku kiełbasy z barszczykiem, a wieczerzą na kaszy z skwiérczkami. Za świéczkę do czytania często szczépka, albo wągiełek stanął. Kawałek séra i chléb, to najmocniejszy posiłek. Na to nie zważając, tęskniło się do szkoły, a matka dobra, gdy mię widziała dotkliwego na sukiénkę podłą, mawiała mi często: „Chódź teraz w płachcie, będziesz potém chodził w hafcie." Co się zjiściło! W tym stanie ściśle trzymanego dzieciństwa, gdy mię używano w szkole do dyjalożków, do komedyji, do tragiedyji, do aklamacyji, do oracyji, nie ostatnim się było. Pijarowie wabili mię do zakonu swego, ale woli boskiéj nie było. Co postrzegłszy ma-

tka i ciotka moja wyżéj wspomniona, już poetykę kończącego w 13$^{m.}$ roku, z Wielunia mię wzięły ze szkół, a do Krakowa do Michałowskiego, sędziego krakowskiego, oddały.

Ten Michałowski był to mąż sławny. Krzeseł ofiarowanych sobie, a nawet województwa mazowieckiego nie przyjął, ale przy podstolstwie Krakowskiém trwał sędzią grodzkim Krakowskim, (lat mniéj albo więcéj cztérdzieści) do saméj śmierci. W Krakowie pilnując jurysdyki, corocznie po trzy ćwierci roku wysiadywał w sprawiedliwości, tak cywilnéj jak kryminalnéj, nieskażóny sędzia. O nim to słynie podanie z akt grodzkich Krakowskich wyjęte, że zbrodniów tysiąc bez kilku przez ciąg sędziostwa swego na śmierć skazał. Nikomu on nie darował, niezważając na żadne instancyje, nawet na żelazne listy. On górali zbójców przeplenił; drogi, karczmy ubespieczył, miasto Kraków od nocnych

napaści, krzesów brukowych, pojedynków, kradzieży, uspokoił. W cywilnéj sprawiedliwości, tak był prawy, iż panowie o kilkadziesiąt mil od Krakowa dobra swoje mający, w sądzie jego forum sobie ostrzegali: a jak osądził, już tego nigdy trybunały nie zmazały, ani poprawiły. U pacyjentow na wizytach, traktamentach, niepostał, i sam ich do siebie nie spraszał, oprocz raz tylko w rok na imieniny swoje, na święto Śgo Józefa. To mu sprawowało wielkie poszanowanie i powagę u największych panów. Był nie przyjacielem pieniactwa, do którego porywczych, gromił. Byłem przytomny, gdy jeden ziémianin drugiego pozwał o „*turpia verba!*“ Pyta się sędzia: ***Cóż to WPanu ten Imć powiedział?*** Tamten odpowie z niecierpliwości: ***Rzekłem mu, żeś „kiep“.*** A odwołasz że to słowo? = ***Odwołam.*** = ***Wyrzecz że: „mówiłem to jako kiep“.*** Usłuchał, i rzekł: ***„mówiłem to, jako kiep“.*** Kontent został ów

z takiéj satysfakcyji: a tak pieniactwo na śmiéchu się skończyło. Wspomniony pan Michałowski był bardzo gorliwy o imie szlacheckie, i gniéwał się, gdy to imie brał na siebie, kto się szlachcicem nierodził. Sławny w akademiji Zamojskiéj matematyk, zwany Michałowski, był pozwany do tego sędziego, że imie jego, rodząc się w kondycyji pospolitéj, wziął na siebie. Dokazał tego, że trybunał Lubelski, odsądził matematyka tego od litery „w", i tak na potym nie pisał się już, tylko Michałoski. Ja ten trybunalski dekret oblatowałem w krakowskim grodzie. Do tego zmiérza następujący żarcik. Przyjechał do niego z Wodzisławia bliski, godny sąsiad, Lanckoroński, podkomorzy Krakowski. Ten bawiąc się z nim w pokuju, kazał zawołać do siebie sługę, i rzekł mu: „Zawołaj mi Michałowskiego masztalerza!" W tym reflektując się, że to mówi w domu pana tego

który się tak zowie, rzecze: „*Przepraszam Pana, że ten mój hultaj nazwał się Pańskim imieniem.*" „*Nic to,*" odpowie sędzia, „*bo i ja mam psiarka, który się nazywa WPana imieniem*" Lanckoroński skoczy i rzeknie: „*Niechże się tak psiarek nie nazywa.*", Na co sędzia: „*a niechże się masztalerz WPana też tak, jak ja, nie nazywa.* Poklasneli sobie obadwa panowie, uraczyli się, i zgoda!

Do tego więc Michałowskiego sędziego na dalszą edukacyją wysłała mię matka moja, oporządzonego ile mogła, taką wyprawą, że wszystko co było na mnie i przy mnie, nie warto było złotych 80 cin. Zawiózł mię do Słupi, dóbr jego, Złotnicki, cześnikowicz koronny z afektu, iż miał żónę imienniczkę moję. W tym domu kilka lat bawiłem, i z synem pana sędziego Michałowskiego Antonim szkoły odbyłem; potém do Krakowa z państwem i całym dworem, na sądy i miészkanie przyjechawszy, cho-

działem z tymże synem jego do akademiji. W takiém z nim koléżeństwie wielki mię wstyd spotkał. Z swywoli między dzieciuchami, wspomniony Antoni Michałowski, jako panicz dał mi kartę, którą mi zapisał dziesięć tysięcy złt. Ja tę kartę za nic mając, przyjechawszy do Krakowa, porzuciłem; ale ją ktoś podniosł, i oddał sędziemu. Loco satisfactionis, kazał mi wyliczyć profesorowi przy sobie trzydzieści dyscyplin.

W nieprzytomności państwa w Krakowie, trzymałem rozchód stołu naszego studenckiego, do którego należał profesor, dwuch nas dzieciuchów, sługa, hajduk i kucharka. Piec w izdebce naszej, marmurem wysłanej, na najtęższe mrozy trzeba było na dzień (cóż to na Kraków) szczépkami dębowemi za „6 groszy" opalać. Od zimna przejęty, spadłem ze schodów, rękę lewą w ramieniu wybiłem, ktorą baba, z chlebem pod kamienicą siadająca, uléczyła.

Odstąpiłem troche potém szkół, i samemu sędziemu asystowałem. Była to dla mnie pora twardsza nad zakonne reguły i służbę wojskową. Ślepieć we dnie i nocy nad piórem, w Krakowie rejestra trzymać wydatków, a po dobrach wymiérzać zboża po spichrzach i rachować i zapisywać po sadach drzewa urodzajne, i drzéwka najmniejsze; a po łąkach i po zapłociach (w kraju bez drew) krzaki i wiérzby rachować, inwentarze opisować, stajnie, obory, na zimę otwiérać, a na wiosnę spisowaniem zamykać:—było to wszystko moją profesyją. A trafiało się, że palce kośniały od pisania, kiedy było potrzeba folijały przepisować. I lubo ten pan miéwał zawsze po trzech i cztérech przy sobie młodych paniczów na respekcie, a dworskich po dwudziestu; jednakże ci wszyscy nie byli używani do żadnej prawie roboty, tylko dla asystencyji. Łatwo było pojąć, że ich tyle trzymał, albo dla powagi sędziowskiéj,

albo dla bespieczeństwa od najazdów złych ludzi, którzy ciérpieć nie mogli, że ich dekretami swemi na tamten świat expedite wysyłał, a to przez kata imieniem Józefa, tak jak sam sędzia był Józef. Kusili się oni na niego podrzucanemi paszkwilami, satyrami: a on na złych ludzi miał rajtarów dwónastu z unteroficerem i kilku hajdukami. A ten cały jego liczny dwór nic nigdy nie robił, a ja sam jak kamień młyński w ustawicznym byłem obrocie. Nadto, chociaż ten pan pełno miał usłużenia, jednakże w chorobach jego musiałem ja najpodlejsze mu czynić usługi i pościółką moją wyciérać przy nim podłogi. Taka jego wola była; a to czy dla tego, aby mię miał zawsze pod ręką do pisania, czyli téż dla tego, abym się na obyczajach nie zepsuł. Jedzenie bywało dla mnie całe łapczywe, tak żeby go był jaki krokodyl nie jadł; i grosza téż do kieszeni mi nie dawano, jakbym

zostawał w obowiązku ślubu ubóstwa. W tej ścisłości jakbym należał do sekty greckich stojików, to jest: jakbym uczucia niemał: wszystko bez najmniejszego sarknienia wytrzymywałem.

ROŹDZIAŁ II.

Powołanie do stanu duchownego.

Tu się powołanie moje do stanu duchownego zaczęło okazywać. Za czasów cnotliwych miały to sobie domy za błogosławieństwo, kiedy w krwi swoiéj znajdowały kapłana, a ja ich w domu mojim, Pstrokońskich, znalazłem cztérech. Pomnożył zaś Pan Bóg błogosławieństwo nad tymże domem, gdy mnie piątego, choć najniegodniejszego powołał na kapłaństwo. W tej więc wokacyji, którą tajiłem, proszę sędziego, aby mi pozwolił matkę moją nawiédzić. Pozwala i wyprawuje mię na podjezdku i na tę

podróż daje mi kilkanaście złotych *Viales.* Przyjechawszy do Kowarzyna matka mię z radością powitała. Zabawiłem u niéj kilka niedziel. Po rozmowie o stanie mojim przyszłym, wyprawiony do sędziego, powróciłem do niego do Słupi, gdzie ogłosiwszy mu wolą boską, powołującą mię do kapłaństwa, prosiłem go o abszyt. Zmiészał się na ten wyrok, rzekł do mnie: „*Znać niechciałeś, żebym dzieciom mojim krzywdy nie uczynił*“ —przez co dał znać, że mi myslał coś z fortuny udzielić. Nic mię to od rezolucyji powziętéj nie cofało, więc nalegałem o odjazd. Tak zatém kazał mi połowe sukiének i szabelkę ciénko wśréberko oprawną zostawić sobie i oddać do swego skarbcu, mówiąc: że mi to dał nie dla mnie, ale dla swego honoru. Wszystko więc mu zostawiłem. Dał mi zaś na odprawę szkapsko, starego srokatego ogiera, za którego w domu złt. 20. wziąłem, a na którego mój sługa

w jednym matezaliku wszystek mój majątek id est bagaż wtroczył, a na Viales dał mi sędzia bodaj kilkanaście złotych. — Oddawszy zatém pożegnanie państwu przypłakującemu, familiji ich i licznemu dworowi, ja przy szabelce prostéj wsiadłem, na konia, odjechałem, i przybyłem do matki z równą jéj i brata, jak przedtém, pociechą. Jak prędko nadszedł czas otwarcia szkół po wakacyjach, udałem się do Kalisza, gdzie dla przypomnienia sobie retoryki, słuchałem jéj blisko rok. Pod nadeszłe wakacyje, oporządziłem się po księsku i zabrałem się do Gniézna, do seminaryum na fundusz, gdzie gdy nie było biskupa do święcenia, trzeba było pojechać do Łowicza: a że nie można być wtym życiu bez przeciwności, zaraz ja ich doznałem w początku biegu do mety mojéj. Najęty koń w Gniéznie w tę moję podróż tak był leniwy, że się ledwo z miejsca chciał ruszyć. Ja tłukę, żgam,

biję szkapsko aż do zmordowania, a on ledwie nogi podnosi: szczęściem nadjéżdża mię chłopek ze wsi opactwa Łęndzkiego i patrząc na moje zniszczenie ową jazdą, użalił się na demną, kazał mi wsieść na swego konia, a on osiadł mego. I tak przecież zawlokłem się do Kawęczyna, do dworu matki mojéj zdumiałéj i łzami zalanéj, żem się tak źle wybrał. Wypocząwszy tam sobie, posłała mię matka do Łowicza, gdzie stanąwszy, przyjąłem tonsurę i mniejsze cztéry święcenia (minores ordines) od Trzcińskiego, sufragana Gniéźnieńskiego, a to roku pańskiego 1733. w kolegijacie Łowickiej. Podziękowawszy P. Bogu za te piérwsze znaki kapłaństwa, zabrałem się na powrot tąż samą drogą, i przybyłem do Gniézna. Jąłem się żywo zaczętego seminaryum pod X. Franciszkiem Więckowskim profektem, którego mogę nazywać smiało sługą bożym i człowiekiem świątobliwym i uczonym.

Zabawiłem w seminaryum pod tym godnym przełożonym i nauczycielem, kontent z miészkania, z wiktuw, obowiązkow seminaryjskich, bez najmniejszéj przykrości, ale z słodyczą umysłu i serca od 1°. Września 1733. do I°. Lipca roku 1734go. A lubo kapituła Gniéźnieńska, prałaci i kanonicy mieli oko na mnie i chcieli mię przy katedrze utrzymać i na ten koniec już mi tytuł do kapłaństwa zapisali, że jednak jeszcze mi lat trzy do niego brakowało, postanowiłem te trzy lata odłożyć na nauki, któreby mię uczyniły sposobniejszym do służenia kościołowi. Jakoż w domu przez wakacyje zabawiwszy, udałem się do szkół Kaliskich, w których przez lat trzy kurs filozoficzny traktowałem, i na osobności, w cichości ducha, obywałem się bez rozrywek i samej tylko książki pilnowałem. W ciągu tych nauk, przejeżdżając kanonicy Gniéźnieńscy przez Kalisz do dóbr kapitulnych Kamionki, zabrali mię

do niéj z sobą dla jakiéj w pisaniu pomocy. Trzymał na tenczas od kapituły te dobra Władysław Łubieński, kanonik Gniéźnieński, przyszły arcybiskup i trzymał je kontraktem dzierzawy, przez lat dwanaście. W tej to Kamionce, przebywał pralat ten ludzki i bardzo od obywateli ziémi Wieluńskiej szanowany. Pisał on w tenczas, dzieło wielkie w dwóch tomach intytuławane „*Świat we wszystkich czterech częściach, jeograficznie, i historycznie opisany etc.*“, i dzieło to ofiarował i przypisał Augustowi III., królowi Polskiemu. Nad którą to pracą zastaliśmy go; a gdym go na tenczas piérwszy raz obaczył, i przypatrzył się jego wielkiej powadze, wspaniałości i urodzie ślicznéj, zaraz o nim i potém częstokroć rokowałem „Pewny nasz Prymas!“ a teraz go zawsze nazywam i potomność moja nazywać powinna „*Mój Pan, mój Promotor, mój Dobrodziéj.*“ Widzenie to moje piérwsze o-

soby jego, wystawiło mu na pamięć prapradziada mego Macieja biskupa, jak on familiją Łubieńskich w Macieju prymasie i w Stanisławie biskupie Płockim wyniósł, więc wdzięcznym być Pstrokońskim we mnie postanowił, byle mu do tego okazała się pora. Roku 1736. po niezmiernych ulewach i powodziach nastąpił przygłodek i zaraźliwy przymorek. W owym czasie cmentarze napełnione były trupami, a plebani wystarczyć nie mogli dysponować chorych umiérających przy drogach, po chléwach, po stodołach lada gdzie, i tu i owdzie. Wskrzeszałem w sobie ducha kościelnego, którym się w seminaryum napojiłem i ile mogłem wyprawiałem umiérających na wieczność przez akty wiary, nadzieji, miłości i żalu za grzéchy, z kąd się zaraziłem, i raz czy dwa razy ledwiemi nie przyszło umrzéć. W tym właśnie czasie znajdowali się w szkołach w Kaliszu dwaj paniczowie,

synowcowie Jana Lipskiego, kardynała biskupa Krakowskiego, to jest: Michał i Jgnacy, dziedzice dóbr Błaszkowskich.

Z tych dwoch Michał, lubo na tenczas dopiéro piętnastoletni, już był proboszczem kolegijaty Chockiej z przyczyny fundacyji familiji Lipskich sobie służącéj. Prałat ten młodziuchny bardzo mię pokochał i chciał mię mieć w téj swojéj kolegiacie kanonikiem.

ROZDZIAŁ III.

—

Promocyja autora na kanonika.

Otrzymałem w rzeczy samej kanoniją w Choczu w roku 1736. Jeszcze jednak w tedy niemiałem do kapłaństwa przyzwojitych lat. Gdy te nadeszły, uradowany w duchu, żem otrzymał kanoniją w téj kolegijacie, o której to było przysłowie że: *„z kolegijaty Chockiéj najbliższa droga do niba“* zabrałem się na

odebranie święcenia do Gniézna, gdzie na kapłaństwo wyświęcony zostałem Powracając z Gniézna, ściskałem głowy ludzi, jako kapłan nowy, i stanąwszy u matki w Kaweczynie, zaproszony od państwa Gałeckich, starostwa Bydgowskich, w ich kościele prymicyje moje, to jest piérwszą mszą, odprawiłem. Po tych piérwiastkowych ceremonijach należało mi się zabiérać do Chocza do kolegijaty, i w niéj odprawować obowiązki godności mojéj. Gdy jednak po śmierci Augusta II. i obraniu Augusta III. dla zamieszek w ojczyźnie, fundusze kapituły Chockiej upadły, a przeto nie było z czego żyć przy kolegijacie, kazali mi konfratrowie radzić o sobie i starać się gdzie indziéj o chléb, aż oto Stanisław Kożuchwski, czesnik Wieluński, dał mi prezentę na plebaniją w dobrach swojich, w Mokrzku. Był ten pan wielki statysta, dawny konsylarz króla Stanisława podczas emula-

cyji o koronę z Augustem II. i sekretarz jego gabinetowy. On to konstytucyje koronne, na kształt Herburta, zebrał i we wsi je swojéj dziedzicznéj w Mokrzku drukować kazał. A tak mając tę prezentę już nie do Gniézna, ale do Łowicza po instytucyją jechać musiałem, abym się tam Potockiemu, księciu prymasowi zalécił. Na drogę nie było pieniędzy, trudno je było znaleść w domu matki mojéj, przecież znalazłem je u moiéj ciotki Pstrokońskiéj. Ta pani piérwsza była i ostatnia z familiji moiéj do poratowania mnie w potrzebie; bo mi pożyczyła na drogą tę Łowicką czerwonych zlt. pięc na moją kartę, ale niemając z kąd ich oddać, mszami świętemi wypłaciłem się jéj.

W Łowiczu prymasa i widzieć mi nie przyszło. A tak wziąwszy tylko z Łowickiego konsystorza komis na Wężyka, oficyjała Wieluńskiego, od niego

w Wieluniu na tę plebaniją Mokrzką wziąłem intromisyją.

Obowiązkom mojim chciałem ile mogłem zadosyć czynić, nie spuszczając się na mojich wyręczników: kazania miéwałem, które pózniéj, jako już z geniju-szém wieku teraźniéjszego niezgadzające się, wszystkie na ogień skazałem. W konfesyonale powinność moją pełniłem słuchania spowiedzi, i nie odsyłałem téż do księży, kiedy mi dano znać do chorego, ale miałem sobie za powinność i za żniwo niebieskie samemu nieodwłocznie do niego pojechać. Trafiło mi się raz w dzień zaduszny podczas nocy bardzo ciémnéj i słotliwéj do chorego zaraz po północy jechać. Szkapa biały, na którym chłop przewodnik poprzedzał, jedyną była mi latarnią, bo inaczéj uwiązłbym był gdzie w błocie. Trzeba było z powrotem się pośpieszać dla zadusznego nabożeństwa, czego tym łatwiéj było dokazać, że chłopek zmy-

ślił się być chorym. Do kościołaleni-stwo nie dało mu się ruszyć; chciał mieć więc w domu kapłana mimo krwa-wą téj nocy porę, nie żeby on go w ko-ściele znalazł. Bóg dał, że mię ten przypadek zmyślonego chorego nieu-czynił zbyt bespiecznym w drugim przy-padku. Dają mi znać podczas lata w tem samem miejscu, gdzie poprzedzający. Pytam się, dawno zachorował? Wczo-raj dopiéro, bo jeszcze wczoraj kozy pasł. Przyszła mi myśl, czy nie tak bę-dzie chory, jak piérwszy? Ale mi Bóg dał natchnienie wziąść z sobą i naj-świętszy sakrament i oléj święty. Sia-dam więc na konia z tém wszystkiém. Z dyarnalika na koniu zaczynam pacié-rze mówić, powoli jadąc. Aż oto ude-rza mię myśl, żebym pośpieszał. Od-daję dyarnalik ludziom idącym do ko-ścioła, a sam prędszym ruchem jadę. Przyjéżdżam. Zsiadam z konia, do chałupy wchodzę i widzę chłopka sie-

dzącego przy piecu rzeźwego, a przy-najmniéj na pół tylko chorego. Słu-cham go spowiedzi, komuniją, na kształt wiatyku daję, i gdy myślę czy włożyć oléj święty na niego, bom go widział rzeźwego), uderza mię natchnienie, że-bym mu dał i ten ostatni sakrament, któ-ryco tylkom mu dał, gdy w bawełnę ocie-ram rękę z oleju Sgo i spojrzę na cho-rego, aż oto już nie żyje „*Jdźże duszo do nieba!*" rzeknę, a ja powróciłem do kościoła na podziękowanie Bogu za ten zysk duchowny. —

W tymże czasie umarł brat mój Ję-drzéj, bez żadnego majątku i zostawił mi, jako stryjowi, synka Józefa, które-go matka moja wziąwszy, osiadła z nim wplebaniji mojéj, w Mokrzku, gdzie się chował póki go do Chocza, do szkoły kolegtiajy, nię przeniósłem. Ta matka nasza była pełna świątobliwości: mo-dlitwą i postami żyła, nikogo w życiu słowem nie obraziła; miała od Boga dar

léczenia chorych, o kilka mil do siebie się uciekających, prostemi wódkami i mastykami, które robiła; chmury i nawałnice krzyżem Św. rozpędzała?

Pod czas posiadania mego plebaniji w Mokrzku, przybyła tam z licznym bardzo dworem wielka bardzo pani, żona księcia na Lubawicach, a potém żona Załuskiego, kuchmistrza koronnego.

Była ta pani między damami, co do urody, cud! a co do cnót, świątobliwości, dla wszystkich przykład i zwiérściadło! i bawiła lat dwa w Mokrzku. Rad byłem miéć i widziéc tak godną parafijankę, ale w krótce potém przeniosłem się na miészkanie do Chocza; w przód jednak kościoł moj pobiłem i posadzkę w nim położyłem, a w sercu mojim zostawiłem chęć przyłożenia się do reperacyji kościoła tego, jak przyjdę do lepszej fortuny, co też i wykonałem w roku 1784.

Matka moja kochana przeniosła się do córki swojéj, a mojéj siostry, Katarzyny

Święcickiéj do Swierczyńska, gdzie jak sobie zawsze życzyła, krótko na śmierć chorować. Tak się stało; bo zachorowała 19go Marca, w święto Śgo Józefa, ktorému to patronowi w óltarzu, w kościele Mokrzkim łaskami słynącemu, cale się poświęciła, a dnia 25go Marca, w święto zwiastowania Maryji Panny, opatrzona sakramentami SS., przeniosła się na niebieskie życie. Święta matka niech się za mnie modli. Pochowana w Rosprzy w kościele parafijalnym.

Gdy po krótkich w ojczyznie zamieszkach pokój zajaśniał, zaraz tegoż roku 1737 zacząłem miészkanie moje przy kolegijacie Chockiej.

Kanonikowi tam dochodu na dzień nie przychodzi tylko złt. trzy, a prałatom, jako to: dziekanowi i kustoszowi po złt. 3, gr. 12. bez pieniążka: są tam jeszcze prócz tego dystrybucyje funduszowe, aniwersarze i msze, ale za to mało co na rok na osobę przychodzi.

Z tego prowentu żyć za grosz, żeby wystarczyły na dzień złt. trzy, trzeba dobréj ekonomiji, aby się samo-czwart wyżywić: bo bez służącego, bez stangreta, bez usłużenia do kuchni, nie można się było obchodzić. Aleć o to wszystko myśl moja nic się nie zatrudniała, bo zawsze była na pogotowiu opatrzność Boska: ta mi dała wystarczać i na własne potrzeby i na wychowanie synowca mego i na matkę i na plebaniją moją Mokrzką, o któréj powinnością moją było, nie zapominać. Instrumentem niepoślednim téj opatrzności byli dla mnie państwo Linowscy. Miałem téż osobliwsze łaski u księdza kardynała Lipskiego i Potockiego, wojewody Wołyńskiego. Ten pan tyle miał względu na mnie, że mi przez umyślnego posłańca, z Podola do Chocza wyprawionego, ofiarował jakie tylko mógł mieć w wielkich swojich włościach najlepsze beneficium, że mi się oświadczył swojim ko-

sztem posłać mię do cudzych krajów. Ale tego dwojga nie było woli Pana Boga, żebym przyjął, że na ostatek równał mię w afekcie swojim ź dziećmi swojemi. Otoż to były opatrzności Boskiej drogi i sposoby do pomocy, ratowania mię za szczupły chléb, którym się przy kolegijacie Chockiej kontentowałem, a o promocyje nie dbałem. Miałem sobie zadosyć z kanonika na kustosza, a potém na dziekana postąpić. Słodyczą mi było, do chóru chodzić, do którego idąc raz do dnia w adwent, spadłem z mostu na rzekę zmarzłą, ale w tenczas śniegiem pokrytą. Obroniony od szwanku od anioła stróża, tylkom się strząsnął. Nie wracałem się do domu, alem poszedł na powinność moją do kościoła, tak łaska Boska słodziła mi wszystko, że przez wiele lat w téj kolegijacie, nic mi się nie przykrzyło, ani mi w myśli postało miejsce to zmiéniać.

Ale wracając się wyżéj do piérwszych

początkow osadzenia się mego przy kolegijacie. W pięć czy sześć lat z za granicy powraca kochany, piękny, młody proboszcz, już Gniéźnieński kanonik, ksiądz Lipski, zastaje on w zdrowiu dobrym stryja swego kardynała Lipskiego w Kielcach; ale nieszczęśliwie w kilka nedziel doczekał się śmierci jego zaszłéj na dniu Lutego 1746. Przybyłemu do Chocza, a odtąd Telemakowi temu trzeba mi było być mentorem. Ile więc mogłem pomagałem mu radą, kiedy się wyświęcił na kapłaństwo, a potém w lat dwa, czyli trzy, obranemu na vice prezydencyją trybunału koronnego pomagałem piórem i pracą do wszystkiego mu potrzebnego dobra, nawet do promocyji na opactwo Lubińskie, którégo dostąpił po skończonéj funkcyji viceprezydenckiéj. J z nie mniejszą mu szczéróścią i przywiązaniem służyłem, kiedy póżniéj został prezydentem trybunału, a nakóniec sekretarzem Wm.

koronnym, a lubo już nie tak często jak przedtym go widywałem, z przyczyny po stąpienia mego z Chocza na Łowicką kanoniją, jednakże częstokroć przebywałem u niego, w interesach mu pomagałem, z obopólną słodyczą i ukontentowaniem. Ta zaś uprzejma społeczność nie rozerwaną była aż do jego śmierci zaszłéj w Lubieniu dnia 8go Stycznia, roku 1780. Kochałem go dla niego samego, nie dla siebie; kochałem po przyjacielsku, nie po niewolniczemu; nie starałem się o nic przez niego, a mogłem się starać o koadjutoryją jego opactwa, i dobrze się tak stało: bo kiedy na instancyje piérwszych panów polskich książe prymas Ostrowski trudzonym był do zapisania komuż-kolwiek koadjutoryji tegoż opactwa, znalazł dogodny kanał przezemnie i za instrument mnie sobie wziął do dania téj koadjutoryji księdzu Kazimiérzowi Lipskiemu, archidyjakonowi kujawskiemu; jakoż czego wszyscy

dokazać nie mogli, stało się to dla niego. On został koadjutorem; a mnie pomieniony prymas został (jak listy jego do mnie świadczą) zą tę robotę obowiązanym. A takie moje oderwanie się od siebie samego, a przylgnienie do jego dobra, ujmowało serce ku mnie Lipskiego, oboźnego koronnego, stryja jego.

Jeszcze tu o Choczu powiedzieć muszę, że temu miejscu winienem całą zasadę losow mojich dalszych i dokończenie poniekąd mojego wychowania; bo w téj ciszy, oddalonéj od rozrywek i zgiełków, cały się przyłożyłem do nauk i do czytania książek, które się w bibliotece téj kolegijaty znajdowały. Na nalegania przyjacioł mojich wziąłem w tenczas koadjutoryją kanoniji Kaliskiej od księdza Skoraszewskiego, już ośmdziesiątletniego starca. Niedługo potém staruszek ten ustąpił mi tego miejsca, skończywszy życie w roku 1756.

Rokiem przed tą jego śmiercią, gdy

przez funduszową wiés owéj kanoniji przejéżdżałem, podobało się Bogu zaprawić gorzkością te moją koadjutoryją, bo w Krzywinie na Piekłach (miejscu tak nazwanem,) konie mi się zbiegały, woziciel i służący z kolaski pospadali, a potłuczeni, niemogąc się z miejsca ruszyć, gwałtu! rata! wołali. Ja, tak dla poradzenia sobie, wyskoczyłem z niéj, ale nieszczęśliwie; bom nogę lewą nad samą kostką złamał, a konie w czwał poleciały i ostaje, lub więcéj, na krzaku zatrzymały się z kolaską. Leżę na ziémi skaleczony, bez ratunku, służący i woźnica mój gdzieś za mną jęcza. Usłyszałem przecie ludzi rąbiących w krzewinie chróst, ze wsi Piątku; *Krzyczę, gwałtu! Ratujcie mnie!* naprzod bot, w którym złamane piszczele dwie dziury zrobiły, *ściągnijcie z nogi!* Ściągnéli— *szukajcie koni z kolaską!* Znaleźli i przyprowadzili: *Wsadźcie mię na kolaskę!* Wsadzili. — *Wieźcie mię dla pręp-*

kości choć przez pola do Stawiszyna (bo to było w granicach miasta tegoż.) Zawieźli dobrzy ludzie pluszczącego krwią kalékę w téj umysłu przytomności, że jadąc odmówiłem pacierze moje na pamięć i złożyli mię w karczemie Stawiszyńskiéj. Uwiadomiony o tem P. Żołądkowski z Lipego zaraz do mnie przybiega, felczer żyd, czech zawołany, przychodzi, układa kośćie połamane, porozchodzone, tak, że jak by w jakim worku strząsnione, klekotały; wsadza w łupki nogę i tak z łaski Boskiéj robi wszystko doskonale, że temu piérwszemu opatrzeniu ocalenie téj nogi przyznaję.

Szwank ten stał się w Sobotę przed S. Trójcą. Nazajutrz rano dwuch kapłanow od tamtejszego kościoła nawiedzają mię. Zapomniałem, co to jest za dzień dzisiejszy; pytam ich się, cóż to wczoraj było? bo mię tak maligna całą noc piekła, że mi się zdawało cale ja kobym w ogniach czyscowyh od wie-

lu lat gorzał. W ten sam dzień S. Trójcy od rana, przyjéżdża pan Żołądkowski, kładą mię na wóz ciérniem wyłożony i piernatami, żebym się nie strząsł, i składają w Lipym, we dworze, gdzie byłem bez wszelkiego bólu i łagodnie opatrowany od wspomnionego żydka, a po wzmocnieniu nogi, w niedziel dwie, przybyli z Chocza ludzie, i na wielkiém łóżku przenieśli mię rękami swemi do Chocza, gdzie w pare tygodni wyzdrowiałem. Całuję rękę Boską, która mię wychłostała na kościach mojich i na nich mię uzdrowiła, umartwiła i ożywiła.

Objąwszy zawakowaną z funduszem kanoniją roku 1756., puściłem wieś jéj funduszową Gazewo w dziérzawę panu Żołądkowskiemu, z któréj mi co rocznie płacił po tysiącu złoych, za które mogłem przecie, przez lat dziewięć posesyji jego wypłacić się z niektórych dłużków, które byłem zaciągnął, i żyć przystojnie. Aż tu dowiaduję się o bracie

mojim rodzonym Frańciszku, o którym ta jest rzecz.

Brat ten we dwie lecie po oddaniu mnie sędziemu Michałowskiemu zalecony był Małachowskiemu krajczemu W^{mu} koronnemu dla poloru i fortuny, u którego bawił aż do jego śmierci; potém zaś nie wiadomo nam było, gdzie się znajdował: bo przez wiele lat żadnéj o sobie nie był dał wiadomosci, tak dalece, żeśmy go mieli już za umarłego. Szczęściem dla niego, już to od lat cztérech bawiąc przy kochanym panie mojim księciu prymasie Łubieńskim, roku 1765 dowiaduję się od kapłana, że mój brat żyje. Niedowiérzam mu: „*Tak jest*“ od rzeka: *to brat WPana, boś mu podobny: = A gdzie miészka? = W téj, a téj wsi; w ziémi Mazowieckiéj = W jakim jest stanie? = W biédnym. Ma żonę i dzieci, ale posesyji żadnéj niema, tylko siedzi komorą.*“ Westchnąłem na taką brata niedolę i napisałem przez tegoż kapłana do

niego bilet, aby do Warszawy przyjechał. Stawił się. Poznaję, że brat. Powiada mi, że ma żonę Frańciszkę Gostyńską: już ma z nią troje dzieci, ale posagu nic. Nie miałem mu co dać, bom sam był potrzebujący; alem go z pociechą od siebie ekspedyjował, gdym mu kazał na S^{ty} Jan w Kaliskie przybywać, dla odebrania w dziérzawę swoję, wioskę moją Gazowo, do kanoniji Kaliskiéj należącą. Przybył nie zawodnie i po skończonéj dziérżawie przez pana Żołądkowskiego już teraz lat dwadzieścia i trzy posiada w pokoju tę wioskę. Nad tym artykułem zastanawiam się. Czyli mało miałem do myśli? Natenczas, kiedy pusto było w kieszeni, trzeba było radzić o synowcu Józefie i o bracie Frańciszku z żoną i dziećmi, Ale Bog miłosierny wszystko opatrzył. —

Postępuję teraz do Łowicza. Pan mój, książe prymas Łubieński, tylko trzy razy mnie widział. Piérwszy raz, jak wy-

żéj namieniłem w Kamionce; drugi raz, jak przejéżdżał do Chocza; a trzeci raz, jak po arcybiskupstwie Lwowskiem postąpił na arcybiskupstwo Gniéźnieńskie.

ROŹDZIAŁ VI.

Dalsza promocyja.

Skoro zawakowała po Jmć Ks. Awedyku, kanoniku Gniéźnieńskim kanonija Łowicka, tak zaraz pamiętny i dobrotliwy książe prymas Łubieński konferował mi ją niewiadomemu o zawakowaniu jéj. Odebrawszy nominacyją moję, osiadłem w Łowiczu, a często przebywając u dworu, przykładałem usilnego starania, abym pana mego dobrego mniemania o mnie, nie zawiódł. Postanowiony delegatem Curiae Primatialis, oprócz sędziowskiéj władzy sprawowania (którego jakem mógł unikałem, sam będąc wart sądu) wszystkie inne części poleconego mi urzędu, sprawowałem.

Posiadaną tę kanoniją około pięciu blisko lat, na samo skinienie pana mojego bez najmniejszego na mnie nalegania, ustąpiłem chętnie kapelanowi jego, Ks. Szeliskiemu 1767. roku. W trakcie posesyji mojéj kanoniji Łowickiéj, dał mi pan mój z prezenty królewskiéj probostwo Konińskie, ale gdy mi ciężarem było dla powinności plebańskich, więc zaraz we dwie lecie, wyreperowawszy piérwéj kościoł, rezygnowałem je bez wiedzy nawet pana mojego.

Nadeszła ostatnia epoka promocyji mojéj, do któréj mię Boska opatrzność przeznaczyła, a któréj kresu wymierzonego już się niegodziło przestąpić: roku 1765° nie zabiegającemu, nie proszącemu, niespodziewającemu się nawet i nie przytomnemu, dał mi mój pan kanoniją Gniéźnieńską. W krótce naznaczył mię wizytatorem jeneralnym archidyjakonatu Gniéźnieńskiego, który zaraz wizytować zacząłem. Akta Visita-

tionis w tomie wielkim in archiwo Capitularii potém złożyłem; od dalszych wizyt, przeszkodziła mi vice-przezydencyja trybunału koronnego, na którą obrany zostałem pod laską marszałkowską Antoniego Małachowskiego, kanclerza w ówczas W^{go} koronego.

ROŹDZIAŁ V.

—

Urzędowanie w trybunale koronnym.

Nie spodziéwałem się wcale zaszczytu, który mię spotkał. Książe, pan mój, z dyskrecyji nad mojim niedostkiem niechciał mię jeszcze tak prędko na tak wielkie ekspensa wyciągać. Aleć ta opatrzność Boska, która polne lilije przyodziéwa i ptastwo powietrzne żywi, zaraz w tym razie wszystko mi dała, czegom potrzebował do utrzymowania się

na téj funkcyji. Bo najprzód tego samego czasu zawakowała kanonija dosyć intratna kolegijaty Ś^{go} Jerzego. Po tę prebendę leciały w czwał, jedne do dworu, drugie do prymasa, sztafety, które konfratrowie moji powysyłali. Tymczasem mnie niegodnemu, nieodważającemu się i prosić o nię, książe, pan mój, prezentę od króla przysłał: z tém większém podziwieniem, że jedna z tych cudzych powysyłanych sztafet, ekspedycyją mi na to przywiozła; co w zazdrosnych niechęć, w przyjaciołach zaś mojich sprawiło pociechę.

Do téj tak znacznéj pomocy na trybunał przybyło mi innych wiele. Książe, pan mój, śpiżarnią moją zbogacił i piwnicę opatrzył. Dał mi i pieniędzy, a przecież ja się temu dobremu panu mojemu o nic, a nic nigdy nie dopraszał.

Od mojéj krwi żadnego wspomożenia nie miałem, a jednak niczego mi nie brakowało. Obchodziłem się jakem mógł

ochrónnie, ale bo też mieliśmy marszałka trybunału najludciejszego i najwspanialszego. Jednakże i mój stolik nie odbywał się codzień bez kilku osób. Ludźmi też nie zaprzątałem się; dosyć mi było do potrzeby i wygody jeden ksiądz, jeden asystent, dwoch lokaji, jeden hajduk, jeden kucharz i dwóch stangretów. U pacyjenta, pana znacznego, raz tylko na kolacyji byłem; u żadnego więcej nigdy nie postałem. Od balów i asamblów, jak od powietrza uciekałem. Okoliczności przypadające w czasie funkcyji mojéj w Piotrkowie te są znakomitsze:

1mo Że mię trybunał uczcił delegacyją do Warszawy do króla z rekognicyją zwyczajną.

2do Że przez niedziel dziesięć, w nieprzytomności prezydenta, siedziałem przy kryżu.

3tio Zę się krwią nie oblał nikt za mojéj

(i tak sobie życzyłem) funkcyji, a już prawie przygotowany miecz na kark obwinionego odwróciłem z takowéj przyczyny:

Dysydent, żołniérz z garnizonu asystującego trybunałowi, na gospodzie tańcując podpiły z dobytym i wyniesionym pałaszem, zawadził nim o sznurek, na którym wisiała lampa gorejąca przed obrazem Maryji P., i oberwał. Na odgłos tego trafunku wrzawa w Piotrkowie. Biorą żołniérza do kurdygardy, dodają, że nawet obraz ten, pałaszem przebił, i zaraz sądzą przed inkwizycyjami i dekretują *„Uciąć mu głowę!“* Deputaci wszyscy niemal przez żarliwość ku wierze ś. tym samym brzmią echem. *Oto heretyk! oto bluźniérca! oto świętokradzca! — uciąć łeb takiemu niegodnikowi.* Stójmy! panowie, mówię ja, mówi zemną sam jeden P. marszałek. Przypadki złe najcnotliwszym się trafiają: nie trzeba je mieć za zbrodnie, śmierci godne; lam-

py upadek od obrazu, z przyczyny przeciętego sznurka od wywijającego pałaszem żołdaka, samemu przypadkowi, albo raczéj nieostrożności jego przypisać należy: dziura zrobiona w obrazie usprawiedliwia obwinionego żołnierza, bo się okazuje, że nie jest świéża, nie jest teraz zrobiona, ale pewno kiedyś. Zacóż tu potępiać niewinnego? Taka i dalsza remonstracyja przemogła niedyskretną żarliwość. Żołniérż od śmierci został wolnym, tylko ukarany za płochość i pijaństwo.

4to I to warto jest noty. Dama z imienia godna, z fortuny bogata, męża (przepuszczam nazwiskowi) jeszcze mająca, na sprawę mężowską przyjéżdża na trybunał i siedzi blisko ćwierć roku w Piotrkowie. U niéj kompanije, kolacyje, przesiadywania po całych nocach, deputatow, palestry i młodzi. Mało dla niéj było wina z Piotrkowskich piwnic; trzeba je było sprowadzać z

Warszawy stema butelkami, a każda po dukacie! Słyszę o tém wszystkiém: przeto kiedy mię wizytowała często, zawsze ją zimno przyjmowałem, i zaraz prędko od siebie zbywanéj dawałem do wyrozumienia: że niepotrzebnie w Piotrkowie wysiaduje przeciwko prawu zakazującemu damom przemiészkiwać w trybunałach; że męża ekspensami swemi niszczy, młódź psuje, i. t. d., i że, choć jéj tu nie będzie, niech pewna będzie wygranej, jeżeli ma dobrą sprawę, którą intentowała ta pani z mężem pewnemu wysokiemu prałatowi, a który spodziewany był zostać przyszłym prymasem (jakóż został). To zaś samo, w myśli téj pani i do niéj przywiązanych trybunalistow, podejrzanym mię czyniło, że bardziéj za stróną prałata, niżeli za stróną jéj będę trzymał. Pomnożyło jéj podejrzenia o mnie, kiedy wzywany od wielu kolegow, niechciałem jéj odwiédzić. A tym bardziéj jeszcze z nastę-

pującéj przyczyny. Przed odjazdem prezydenta z Piotrkowa, z liczną kompaniją znajdowała się też ta pani u niego na traktamencie. Powstawali nie rychło od stołu, po którym, jedni te, insi inne przedsięwzięli zabawy. Prezydent przynaglił mnie, abym ją kartami zabawił. Siedliśmy u stolika. Pani dobywa trzos dukatów; toż i ja. Stawia zaraz nagle całego dukata. Ja mówię: znaczmy się teraz markami, a po grze skończonéj porachujemy się. Gramy zatém. Pani ta, graczka wielka, czy to przez nieszczęście, czyli téż (com bardziéj rozumiał), żeby mię sposobem politycznym do sprawy swojéj ujęła i skorumpowała, znacznie do mnie, gry nieumiejętnego, przegraje, a jak czas przyszedł ruszenia się od stolika, rachuje kupkę marków przedemną leżących, dobywa trzosa z dukatami, liczy i przypłaca mi wygranę podług rachunku marków. Odsuwam jéj napowrot pieniądze, mowiąc seryjo: „*Ma-*

dame, sędzia z pacyjentami, grać nigdy o pieniądze nie powinien: grałem z nią o marki, a nie o złoto, więc jako swoje odbierz. Zawstydzoną w suspicyji o mnie zostawiłem, że jéj sprawie będę przeciwnym; aleć się omyliła. Odjechał prezydent, sprawa pod mojim krzyżem przypada: po induktach i konkluzyji uznałem na mojim sumieniu sprawę téj pani bardzo sprawiedliwą, i gdy jako piérwszy zaczynam notować, wszyscy deputaci nadstawiali z ciekawością uszu, aż usłyszeli przegraną owego wielkiego prałata, a wygraną téj pani i za zdaniem mojém wszyscy poszli. Ukontentowana pani, przychodzi do mnie, dziękuje za wygraną, i usłyszała na pożegnanie te, które przed sprawą wzięła odemnie, nauczki.

5to I to się w trybunale stało. Biskupa senatora przypadła sprawa z ziémianinem. Kolega mój duchowny, deputat z pewnéj kapituły, bardzo na mnie nalegał,

abym mu prezydowania ustąpił, chcąc sobie zasługę uczynić u tego biskupa przez wygraną dla niego, którą sobie obiecywał pewną. Ustąpiłem krzyża natrętowi. Przegrał sprawę sromotnie, nie żeby zła była biskupia, ale, że zaufanie o sobie i humor prezydującego, odraziło kolegow deputatow od zdań swojich za nim. Strofowałoby mię było sumienie o miejsca ustąpienie, za którym dobréj sprawy przegrana nastąpiła, gdyby mię dobra intencyja nie usprawiedliwiła. Inne wartujące pamięci szczególności nie zaszły za mnie w Piotrkowie.

O tém jednak zapomnieć jeszcze nie powinienem, że co Boska dobroć powszechnie ze wzystkiemi ludźmi zwykła czynić, że kiedy kogo powołuje na jaki urząd, nadaje mu łaski do sprawowania jego, tak i mnie niegodnemu, trwożącemu się przyjąć tę godność, opatrzyła to, żem ją wyprowadził bez zawsty-

dzenia się. Już mi obranemu na ten trybunał, książe, pan mój, dawał jeneralne oficyjalistwo Gniéźnieńskie i na nie już rozkazał pisać w kancelaryji swojéj instrument. Ta wola prymacyjalna była piorunem na mnie lękającego się zawsze sędziowskiéj władzy w najdelikatniéjszym punkcie sumnienia, a to w sprawach rozwodowych, które już na tenczas wszczynały się i mordowały sądy i trybunały duchowne; substancyje szlacheckie niszczyły; świętokradztwa w sakrament małżeński wprowadzały, i drogę bitą na potępienie piekielne torowały, a to z saméj i jedynéj przyczyny bezecnych i skażonych kobiét: bo mężowie prawie nigdy, a jeżeli kiedy który, to ledwie setny mąż i to nie tak promowował, jako bardziéj, iż musiał pobłażać na taki niegodziwy rozwód złéj żónie swojéj. A to powietrze zajęło się naypiérwéj w wysokich familijach; od nich zaraziły się damy godne ziemiań-

skie; na ostatek to złe postąpiło do miast wielkich i małych, a nawet do ubogich chat. Więc trwożąc się być arbitrem takowych sporów, wymawiałem się panu mojemu od tego jeneralnego oficyjalistwa i wreście odsunąłem się od niego. Niewiém czy politycznie? bo nie czekając na instrument z kancelaryji, wsiadłem do powozu i tak mówiąc, uciekłem z Skierniewic. —

W krótce potém umarł pan mój, prymas Łubiński. Śmierć jego była dla ojczyzny tragiczna: bo ten pan mój, gdyby był jeszcze pożył, byłby może, przy pomocy Boskiéj, przeszkodził rozbiorowi polski. Była dla kapituły Gniéźnieńskiéj szkodliwa: bo ten szczodrobliwy na kościoły dawca, dokończyłby był fabryki kościoła swego Gniéźnieńskiego; a dla mnie opłakana: bo był i jest, póki żyję mojim dobroczyńcą, a stało się to dnia 21. Czerwca, roku 1767. że się w Warszawie przeniósł na wieczne ży-

cie dla odbierania nieśmiertelnéj nadgrody za zasługi, które dla Boga, kościoła i ojczyzny poświęcał w całym życiu dobry ten kapłan, dobry urzędnik, dobry arcybiskup. Żył lat 64ry.

ROŹDZIAŁ VI.

—

O Prymasie Łubieńskim.

Pan ten mój po naukach mniejszych w ojczyźnie odbytych, polerował rozum swój w Rzymie, zwiédził całe Włochy, Francyją, Holandyją, Belgiją i państwa Niemieckie; mówił językami, włoskim, francuskim, niemieckim, tak dobrze, jak łacińskim i ojczystym. Scholastykiem będąc Krakowskim i kanonikiem Gniéźnieńskim, był z kapituły Krakowskiéj deputatem na trybunał koronny. Wziął potém dziekaniją Gniéźnieńską, która po postąpieniu swojém na arcybiskupstwo Lwowskie, dostała się imien-

nikowi jego Maciejowi. Prebendę zaś familijną w katedrze Gnieźnieńskiéj odrezygnował Stefanowi, synowcowi swemu. Daléj potém, skoro poznano talenta pana tego, książe kardynał Lipski, biskup Krakowski, zalécił go Augustowi III. na pisarstwo koronne, które otrzymawszy ciągle miészkał przy boku królewskim w Dreźnie, a to na własnym swojim koszcie, oprócz stancyji, drew i małego suplementu na kancelaryją. Zastępował niemal wszystkich w pracach ministeryjalnych kanclerza i podkanclerzego, co było go powinno posunąć wnet, albo na biskupstwo, albo do mniejszéj pieczęci: a przecie i tę pieczęć wźjął przed nim Wodzicki, dziekan i oficyjał Krakowski.

Przecież nadszedł potém czas do nadgrody jego, w któréj został promowowany od króla na arcybiskupstwo Lwowskie, i zaraz w drugim roku na godność prymacyjalną. Tu uważam trzy łaski,

czyli przywileje: od Boga, familiji, Łubieńskich, szczególniéj nadane. —

1mo Że z domu tege dwóch było prymasów, to iest: Maciéj i Władsław, o którym mówię.

2do Że obadwa Łubieńscy królów Polskich na tron konsekrowali. Maciéj Jana Kaźmiérza, a Władysław, Stanisława.

3^tio^ Że obadwa prymasowie Łubieńscy, rzadkim przywilejem niedozwołonym nawet Dawidowi, królowi w Jerozolimie, stali się jakby fundatorami kościoła swego metropolitalnego Gniéźnieńskiego. Piérwszy po zgorzeniu jego za Baranowskiego prymasa, i drugi po takimże przypadku. Tak tym dwoma prymasom można przypisać to, co po odbudowaniu Rzymu jednemu cesarzowi przyznaje historyja: „*Romam lateritiam reperit marmoream fecit.*“

Czyny zaś pana mojego, księcia Władysława, są te:

1mo Co do pobożności, co dzień prawie, choć w skołataném zdrowiu, mszą ś. w kaplicy swojéj pałacowéj, odprawiał. Częstokroć kleryków na kapłaństwo poświęcał; każdego roku rekolekcyje święte czynił.

2do Co do rządów duchownych, troskliwie się starał, aby w gumnie kościelném odłączano plewy od dobrego ziarna, i odbierano plebanije niegodnym, a dobrym je dawano. Żadnego na beneficium cum cura animarum nie instytuowano, albo rzadko kogo, pokąd go sam prymas każącego niesłyszał, a to o miłości Boga i o miłości bliźniego; tak ta najpiérwsza chrześcijańska cnota ujmowała serce tego dobrego arcypasterza.

3tio Co do Rzeczypospolitéj, wiernym jéj był na wszystkich stopniach godności swojich. Nie unikał żadnych publicznych rad i sejmów.

Był wdzięcznym Augustowi IIImu, że go na prymacyjalną godność wyniósł.

Familiją tego dobrego króla i świątobliwéj królowéj bardzo i przywiąznie kochał; a jeżeli synowi Ich, królewiczowi Karolowi, osiągnienie księstwa Kurlandzkiego nie powiodło się, to saméj tylko przemocy obcego dworu przyznać należy. Familji Poniatowskich, po śmierci Augusta, drogi do tronu ułatwił; ku obywatelom był ludzki. Słyszałem raz z ust jego godne prymasa słowa, które powiedział ziemianinowi nie będącemu u niego na objedzie przez jakąś nieśmiałość: *Panie bracie! Stół prymasoski jest stół dla szlachty.*

4to Co do fabryk kościelnych, żaden prymas tyle nie zrobił, co ten Pan mój; bo na kościoł swój Gniéźnieński zgorzały, na reperacyją jego wydał sumę złt. polsk. 190,359.

Na tym nie dosyć. Był ten pan mój w przód kanonikiem, potém dziekanem w katedrze Gniéźnieńskiéj przez lat 33. więc ten najlepszy z prymasów niby żołd

niby jakiś haracz za każdy rók posiadanego w niéj stalum, po tysiącu złotych oddał, kiedy zlt. pol. 33,000. na reperacyją jéj przez testament zapisał. Na dom dla wysłużonych kapłanów w Łowiczu materyjały, kilkanaście tysięcy zlt. kosztujące, zostawił.

Drukarni, tak wiele ekspedycyjom prymacyjalnym potrzebnéj, prawie nigdy nie bywało; bo tylko raz jeden za Karnkowskiego prymasa w Łowiczu się pokazała (jakem czytał w książeczce in parwo 8vo de Casibus Moralibus tamże drukowanéj), ale pan mój chcąc być dobru publicznemu użytecznym, drukarnią kilkadziesiąt tysięcy kosztującą, do Łowicza zaprowadził.

Rozciągnął dobrodziejstwa swoje do kolegijat: Łowieckiéj, Łęczyckiéj i Uniejowskiéj. Kolegijata także Łuska, w któréj za młodu jeszcze był na probostwie infułackiém, uczuła łaski jego.

Parafijalne także kościoły w dobrach

prymacyjalnych, jedne popostawiał, drugie reperował i kościoł w Opatówku przyozdobił, na pamiątkę pochowanych tam zwłoków matki swojéj; gród w Łowiczu, na sejmie wyrobił, żeby prymacyjalna prerogatywa miała w stolicy swojéj gdzie czynić tranzakcyją, nie szarzając się po kancelaryjach inszych.

A co należy do utrzymania dóbr prymacyjalnych, był w nich najłaskawszym dla poddanych, nie tak panem, jak ojcem. Aby słuchać ich skarg, wyjéżdżał wieczorami w pole często, niby dla agitacyji, a to było dla poddanych, jak mi się raz zwierzył; bo mię brał z sobą do karety. „*Dla tego tak wyjéżdżam, żebym odbiérał zażalenie od ubóstwa; bo ich podobno nie dopuszczają do mnie.*"

Co się zaś tycze ubogich i promocyji, wszystko w tym punkcie zamknę, gdy powiém: że dosyć było jak przypowieść niesie, klamki się pałacu jego chwycić, żeby znaleść opatrzenie na

przyszłe swoje życie. O jakże dobrze było służyć temu panu! Łaski zaś jego ku mnie tą całą historyją opowiadam i ogłoszę i obowiązuję mojich następców, aby zasięgnąwszy wiadomości z rękopismów, które się po tym panie pozostały w bibliotece wnuka jego Felixa, starosty Nakielskiego w Szczytnikach ułożyli historyją czynności jego, a osobliwie podczas bezkrólewia. Oby to dzieło stało się godne mojéj wdzięczności za odebrane od niego dobrodziejstwa! —

ROŹDZIAŁ VII.

O kanclerzu Młodziejowskim.

Powinna w tém dziéle mojém wchodzić pamięć o Jędrzeju Młodziejowskim, biskupie Poznańskim, kanclerzu wielkim koronnym, młodszym odemnie czterema laty. Ten zrodziców chudo pa-

cholskich, bo tylko dziérzawkami chodzących, zrodzony, bawił się przy Antonim Krobanowskim, dziekanie i oficyjale Gniéźnieńskim, już będąc klerykiem w Gniéźnie na tenczas, kiedym ja był w seminaryum. Był on tak potrzebującym i tak ubogim jak ja; mieliśmy serce do siebie i kochaliśmy się. Już ja na tenczas w nim coś wielkiego w przyszłości upatrywałem. Gdy pewny kleryk, szlachcic (przepuszczam imieniowi) żartki z niego czynił, broniłem go, téj już będąc opiniji: *ty staniesz się wielkim hultajem, a ż ciebie, Jędrusiu* (do kanclerza przyszłego obracając się) *stanie się wielki człowiek.* — Zjiściło się przepowiedzenie: bo tamten z cztérech beneficyjów, czyli pięciu, z jednego po drugiem przez dekreta wyrzucony, umarł nędznie w klasztorze; ten zaś Młodziejowski (z inspektoryji młodych Radolińskich, podkomorzyców Wschowskich, dostał się na kapelaniją do Mia-

skowskiego, kanonika Gniéźnieńskiego, proboszcza Płockiego, od niego do Załuskiego biskupa, u którego ćwiczył się w kancelaryji do pióra. Tam opatrzywszy się w pieniądze, pojechał do Rzymu, gdzie 13. czyli 14. lat mieszkał, korespondencyje z biskupami Polskiemi i duchownemi trzymał, ekspedycyje papiéskie dla nich wyrabiał, kościoła S. Stanisława i szpitała Polskiego długo był rektorem; kościoł ten pięknie bardzo ozdobił i posadzkę w małym chórze z oryjentalnych kamieni w herby Załuskiego biskupa wysadzaną, bardzo, kosztowną, położył; zakrystyją aparatami ozdobił tak osobliwszemi w robocie, jakie ledwie się mogą znajdować na watykanie. Księżniczki i damy Rzymskie, oraz zakonnice zjéżdżały się do tego naszego kościoła widzieć te nasze splendory i brać z nich wzory do naśladowania.

Trafił się też taki sposób do zbogacenia tego naszego Rzymskiego domu: Ks. Krasowski, quondam kanonik Warszawski, pan milijonowy i hojny fundator misyonarzów w Siemiatyczach, darował był do zakrystyji w Częstochowie najkosztowniéjszy aparat, na cześć najśw. Panny; drugi takiż dał do kaplicy papiéskiéj w Rzymie, który potém papież królowi Neapolitańskiemu darował. Oba te aparaty żywo i misternie szyte były przez jednę pannę, która mu w Polsce służyła i przy nim potém w Rzymie umarła. Wyobrażenia na tym aparacie wyrażały wszytkie tajemnice zbawienia naszego. Opis tego aparatu, w pięciu, czyli sześciu arkuszach drukowany, czytać każdy może.

Ten kanonik Krasowski w ojczyźnie swojéj był bardzo nieszczęśliwy, oszkalowany o postanowienie jakiegoś nowego bractwa, które zwano „*kutasowém*", a którego artykuły (wstyd mię bierze

wypisać) zasadzały się na owém przysłowiu „*Być w ogniu, a nie zgorzéć.*“ Pozywany o ten szkaradny zarzut po grodach, ziémstwach, trybunałach, kondescencyjach, konsystarzach, i nuncyaturze, oczyścił się dopiéro w Rzymie z téj potwarzy dekretem, który nie tylko go niewinnym deklarował, ale nawet wieczne milczeniepod karą klątwy potwarcom nakazał.

Kanonik ten obrzydziwszy sobie kraj ojczysty, wyniósł się z niego zabrawszy z sobą kilkakroć sto tysięcy złotych resztującéj fortuny do Rzymu bez nadzieji powrotu do ojczyzny. Kiedy się zestarzał, w tenczas Młodziejowski starał się oto, aby się ów starzec po śmierci swojéj stał polakom użytecznym; przeto namówił go, że dał na ręce jego sumę sześćdziesiąt tysięcy złotych za wielkim bardzo procentem, ale który miał ustać, gdy pożyczający umrze. Chwalebny ten zamysł Młodziejowskiego niepomyślnie się udał.

Nasz Krasowski staruszek, już miał ośmdziesiąt kilka lat w tenczas, kiedy umowę o swój kapitał z Młodziejowskim zawarł. Któżby na tenczas nie pomyślał, że mu już nie daleko do śmierci; więc mu zapisał Młodziejowski po trzynaście, czy cztérnaście procento w od sta, a za kapitał kupił kamienicę dla fundu-duszu polskiego. Ale Panu Bogu podobało się nad biég zwyczajny ludzi, przedłużyć życie staruszka. Jak żył, tak żył, a procent ów swój wielki odbiérał, że ledwie nie dwa razy więcéj przebrał nad swój kapitał; bo żył lat 99., a ten dom nasz nie mając czym wypłacać tak wielkiéj prowizyji, musiał się zadłużyć. Mógł był ten staruszek jeszcze co uczynić dobrego domowi naszemu w nadgrodę odbiéranéj tak wysoko prowizyji, ale na nieszczęście Młodziejowski z Rzymu wyjechał. Re-

ktorowie późniéjsi domu naszego i polacy tamże bawiący, nie umieli się akomodować staruszkowi, tak że on lokajowi swemu włochowi, który mu do śmierci służył, zapisał całą fortunę swoję.

Ale więcéj jeszcze uczynił Młodziejowski dla domu naszego, kiedy na prowent jego i kościoła Śgo Stanisława wyrobił dekret wieczysty, aby polscy biskupi, opaci, prałaci, kanonicy, od swojich sakrów prowizyji, beneficyjów, z Rzymu, z dataryji biorąc ekspedycyje, płacili do tego kóscioła procent, który nie raz wyniosł kilkanaście tysięcy; a te służą na utrzymowanie kościoła i szpitala, na reperacyją, na zakrystyją, i na kapłanów, przy kościele będących, i na ubogich z Polski przychodzących: a gdy się to i daléj tak mądrze prowadzić będzie, to może z czasem stanąć wspaniałe kolegijum dla Polaków. A tego wszystkiego był sprawcą Młodziejowski staraniem swojem i industryją.

Zastałem ja w Rzymie tę o nim pamięć, że gdy mu brakowało pieniędzy, resztę ich przy sobie pozostałą, rozdawał między żebrać się wstydzących. Co gdy zawsze robił, jużci mu zaraz, i tak znaczne weksle i niespodziewane z Polski ratunki przychodziły od wielu, a najwięcéj od Zaluskiego biskupa. Gdy potém dostało się biskupstwo Krakowskie po kardynale Lipskim księdzu Załuskiemu, Młodziejowski powrócił do Polski, już z kanoniją Krakowską, i był u biskupa tego audytorem aż do śmierci jego, która nastąpiła roku 1758.

Kiedy książe pan mój (Łubieński) roku 1759. został prymasem, potrzebował audytora bardzo zdatnego; więc wziął do boku swego Młodziejowskiego, bo znał jego przymioty, i nie zawiódł się na nim: bo to był prałat z tysiąca najzdatniejszych. Dosyć mu było cztéry godziny do snu i spoczynku, wszystkie ekspedycyje publiczne prymasa się tyczące fran-

cuskie, włoskie, łacińskie, polskie, swoją ręką pisał: sekretarze prymacyjalni i manualistowie nie suszyli sobie głów, tylko podane sobie gotowe kopije przepisywali. W układaniu i pisaniu najważniejszych materyji, tak był sobie przytomnym, że za jednym razem, w jednym czasie, tu pisał, tu wizyty przyjmował; tu na propozycyje gościom odpowiadał, a robotę swoję kończył bez omyłki, bez poprawy. Cud to był, i człowiek niejako nadprzyrodzony! a przecie choć nie zbogacony wyszedł od biskupa Załuskiego — bo mogę powiedzieć, że był potrzebujący — jednak nie chwytał beneficyja dla siebie, kontentował się Krakowską kanoniją i (bez funduszu) Gniéźnieńską, z któréj na kustodyją postąpił. Podawała mu się okazyja do wzięcia probostwa Płockiego, a to przez koadjutoryją od Miaskowskiego, kanonika Gniéźnieńskiego, u którego niegdyś był kapelanem, ale się to

P. Bogu nie podobało, i owszem dla zasługi jego przez cnotę ciérpliwości dopuścił tego Pan Bóg, że go niegodziwie zelżono i zpotwarzono (nie wspominam kto) listami szkaradnemi. Dopuścił P. Bóg na niego umartwienie takie, któreby kogo innego do grobu wpędziło: on je zaś przyjął zimną krwią; tylko na ulgę swojego serca panu mojemu i mnie dał do czytania te paszkwilujące siebie listy i obelgi. Tak niedostąpił on téj wspaniałéj koadjutoryji, która się dostała Szembekowi, teraźniéjszemu biskupowi Płockiemu; on zaś, jako prawdziwy Chrystusów naśladowca, nie tylko złym za złe nie oddawał, ale im służył, i pomagał z mojém wielkiém podziwieniem i przykładem. Tak wyćwiczony, z dekretu Boskiego nadgrodzony w krótce został, gdy po koronacyji króla Stanisława, był przy prymasie niejako sprężyną rządu; potém wziął pieczęć mniéjszą i biskupstwo Przemyślskie, na

koniec po śmierci książęcia Czartoryjskiego, został biskupem Poznańskim i kanclerzem wielkim koronnym. Mógł był pretendować prymacyjalnéj godności po książęciu Łubieńskim i drugi raz po Podoskim; ale jako czynny i potrzebny ojczyznie minister, musiał dotrwać kanclerzem wielkim przy biskupstwie Poznańskiem, aż do saméj śmierci, która go potkała roku 1780.

Śmierć pana tego, któremu czerstwość jego długie życie obiecywała, nie była bez okazyji. Przysądził on w sądach swojich bardzo sprawiedliwie podsędkostwo pewnemu ziemianinowi, przeciwko drugiemu, ktorego dwór protegował. Z téj okazyji martwiony był bardzo u dworu (czego potem nieznośnie król żałował). Z tego umartwienia wpadł w chorobę, z któréj już nie wstał.

Miał ten pan, jakto zawsze bywa, nieprzyjacioł, jak za życia, tak i po śmierci swojéj. Ci mu przypisywali to powię-

kszone wolności dysydentów, to utratę oderwanych od Rzeczypospolitéj prowincyji, to złe rozrządzenie dóbr, i bogactw po Jezujitach; ale te zarzuty bardzo są niesprawiedliwe: bo, czyliż mógł ten pan przemocy oprzéć się? Niech wié potomność, żem go znał z gruntu; niech to będzie jego apologiją: że jeżeli był prawdziwie wielkim kanclerzem, porownany z najmędrszemi panow Europejskich ministrami; to był téż bardzo cnotliwym i pobożnym kapłanem i biskupem, który nie religiją do polityki, ale politykę do religiji stósował, a przynajmniéj umiał jednoczyć sacerdotium cum imperio.

Krytykują drudzy, że zbiory jego w dobrach, sumach, ruchomościach, nie wiedzieć gdzie się podziały. Ale cóż ztąd lojika wnosi? Jeżeli pozostała po nim fortuna zatrudnia dotąd sądy i trybunały, to nie jest winą dawcy, ale jest wadą wszystkich ziémskich rzeczy; nie

wiecznych, bo do czesnych, przez którą w familijach nawet monarchicznych upadają fortuny: więc nie dziw, że i w familijach polskich upadają.

Ten minister, jak mi o nim przychylność jego daje wnosić, książęciu mnie Łubieńskiemu znać przypomniał, że mnie z zacisza kolegijaty Chockiéj, nie jako na lichtarzu osadził. On dla zasłużenia się mego publiczności, aby mię był wysadził na jaki świetny stopień, chciał mię mieć prezydentem trybunału, i tym końcem, na nadchodzący już termin elekcyji prezydenta, przysłał mi sztafetę, ale nim mię doszła, dla skaleczonego pod kuryjerem konia, tymczasem dzień elekcyji nadszedł, na któréj został prezydentem ksiądz Sierakowski, a to z mojem wielkiem szczęściem; bo jeżeliby mi się było ciężko wymówić od téj godności, to jeszcze ciężéj wystarczyć na spezy jakich wymagała.

Pamięć o tym ministrze, jako współ-

autorze promocyji mojéj, wpisać w tę historyją należało mi przez wdzięczność. Teraz daléj o sobie postępuję.

ROŹDZIAŁ VIII.

Podróż do Włoch.

Po zakończonym trybunale nadszedł rok 1768. W tym właśnie czasie toczyła się w trybunałach Rzymskich sprawa kapituły Gniéźnieńskiéj z zakonem kanoników regularnych custodum sepulchri Christi o szpitał, który z dobrami do niego należącemi należy do kapituły. Podobało się więc tejże kapitule, na popiéranie téj sprawy, posłać mię do Rzymu. Bóg mi ku starości już dążącemu, bo lat na tenczas już mającemu 55. użyczył tę łaskę; bom zawsze pragnął nawiédzić to miasto święte, skropione krwią tylu męczénników i zaszczycone

zwłokami ich, a w szczególności grobami książąt apostolskich, Piotra i Pawła. Przyjąłem więc tę delegacyją i umocowany patentami ode dworu i od kapituły, puściłem się w tę świętą drogę około 20go Kwietnia roku tegóż 1768. i do Wrocławia się dostałem.

Wziąłem ja z sobą lokaja, już mi od lat dwóch służącego, Polaka, nie umiejącego, równie jak ja, tylko popolsku; wziąłem dwie pary sukien porządnych, jednę czarną z kamlotu bruxelskiego, drugą na sobie popielatą, z sukna francuskiego, i płaszcz z wilkami na zimny czas, oraz koszul tuzinow dwa; wziąłem trzos siedmioset dukatów napełniony i tekę z papiérami. Nic więcéj nie wziąłem, nawet ani pościeli, tylko wielkie prześcieradło, abym się nim obwijał, dla ochronienia się od zarazy w pościelach austerników zagranicznych.

Z Wrocławia dnia 27o Kwietnia wyjechałém, ale już nie furmańską karetą, co

tydzień do Wiednia chodzącą, bo tam się mieszczą różnego gatunku ludzie. Tam wsiędzie i żyd i żydówka, i ten i ten, taka i owaka, a wlecze się powoli jak smoła i niezmiernie trzęsie, i lubo ten przewóz jest bardzo tani, ja jednak na pocztę, choć bardzo drogą, ale zpojazdami bardzo wygodnemi wsiadłem i traktem na Opawę, Ołomuniec i Bryn, jechałem. We Wiedniu, po wyjeździe z Wracławia, czwartego dnia stanąłem. Droga ta od Ołomuńca jest tak piękna, że weselszéj w całym świecie niemasz; bo mało to, że széroka bardzo i brukowana (bo takie są drogi po wszystkich austryackich państwach), ale co więcéj rozwesela oczy i serce to to, że od Ołomuńca prawie pod sam most Wiedeński obsadzona jest z obustron pod liniją drzewami pożytkującemi, jako to: jabłoniami, gruszkami, tereśniami, wiśniami orzechami włoskiemi, kasztanami, między któremi mało co znajduje się drzewa

nie pożytkującego. Tym zaś milsza była moja jazda, że się na tenczas drzewa rozwijały i kwitnęły. Na którą zaś kolwiek stronę się spojrzało, lada gdzie na zagonie i bardzo gęsto dał się widzieć w miejscu najeżony zając, nic a nic nie strwożony turkotem pojazdu i spokojniéjszy nad królika domowego, tak, że trzeba było dobrze go harapnikiem smagnąć, aby go z miejsca ruszyć. A nawet pod ostatnią austeryją ku Dunajowi, o pół mili od Wiednia, widziałem kilkanaście kotnych łań, które wstawać z légowisk nie chciały, jak swojskie bydło przed nadchodzącym pojazdem.

Stanąłem w Wiedniu 1go Maja w najwspanialszéj austeryji, gdzie taniość większą, niż w Polsce zastałem. Objad smaczny; i bażanty smaczne; wino austryjackie, w złotym kolorze, dobre, a na wpół tańsze, niż francuskie: bo tam węgierskie są zbyt słodkie.

Z rana zaraz przychodzi do mnie słuszny i dobrze przybrany kuryjer i oddaje mi pakę listów, mając mnie za Krasińskiego, biskupa Kamienieckiego (bo już w sam ten czas wszczynały się intrygi w Polsce i związki, które ten biskup układał). Ledwo kuryjerowi temu wyperswadowałem, że nie jestem tym, którym mię rozumié: — i odszedł.

Tymczasem Wiedeńskie osobliwości oglądałem, gdzie nic mi się nie podobało, wyjąwszy (bażanty) niezmiernie wielki kościoł archikatedralny i wieżą na boku kościoła przecudowną, bardzo wysoką, z ciosowego kamienia stawianą; ale tak, że od fundamentów szérokość jéj jest obszérna, wyżéj węższa; i coraz wyżéj, jest coraz węższa, a na ostatek wiérzchołek jéj najwyższy samym tylko jednym zasklepia się krzyżem: zaś kościoł pod dachówką wewnątrz okopciały, bez ozdoby. Loża cesarka przypięta wysoko do filaru, na którą trzeba się piąć, jak po drabinie.

Miasto ciémne, bo ma kamienice wysokie o 6. 7. i 8. kontygnacyjach, ulice błotniste i bardzo ciasne, oprócz jednego placu (bo się rynkiem nazwać nie może) na którym stoji fontanna i statua Leopolda cesarza, dziada naszéj świątobliwéj pani, żóny Augusta III.

O zamku cesarskim dobrze napisał jeden jeograf, że piękniejsze, wspanialsze, bogatsze są stajnie królewskie w Wersalu, niż ten zamek. Lustrowałem go; bo na tenczas cesarzowa w Szembrun, o milę od Wiednia, miészkała. Widziałem sale obszérne, ale nic w nich nie widziałem, coby godne było widzenia. Pałace Wiedeńskie względem pałacy Warszawskich małą są rzeczą. Kaplica zamkowa niknie w proporcyji kaplicy królewskiéj w pałacu saskim Warszawskim.

Zwiédziwszy Wiedeń, trzeba było myśleć o ruszeniu się w dalszą drogę. Poczta z Wrocławia do Wiednia droga, uczyniła mię ostrożniéjszym, żem weturynem do Rzymu się puścił. Ale na nieszczęście trafiłem na tenczas, kiedy wszystkich weturynów Włochów, których tam jest bardzo wiele, pozabiérali różni kawalerowie i dworscy na konwój do Neapolu córki cesarskiéj, zaślubiónéj królewi Neapolitańskiemu. Przecież natrafił mi się szczęściem przybyły weturyn z weneckiego państwa. Zgodziłem tego wenecyjana na całą drogę, aż do Rzymu, za dukatów pięćdziesiąt, a to ze wszystkim, to jest: z objadem i wieczerzą a la mercante, t. j. po kupiecku. Pod tym imieniem mieszczą się najgodniejsi kawalerowie; a kareta była bardzo wygodna i wielka, bo sześć osób mogłaby pomieścić.

Była między nami kontraktowa wymowa, abym o jego koszcie po miastach wielkich cóżkolwiek nad popas i nocleg mógł bawić, dla oglądania ciekawości. J tak było.

Wyjechałem z Wiédnia 4tego Maja na samo południe. Przejazd mój był przez państwa austryjackie, Styryją i Karyntyją. Daléj, miasteczko Ponteba, a raczéj rzéczka przez środek Ponteby przechodząca, dzieli austryjackie od weneckiego państwa, a zatém i od Włoch. — Z Ponteby 10° Maja ciągnąłem skałami, które po prawéj ręce drogi primam regionem aëris wysokością swoją przechodzą, a po lewéj między niezmiernemi przepaściami, które podróżnego strachem napełniają. Obrazy poprzybijane bardzo często nade drogą po skałach, wyobrażają wojażerów z końmi i z karetą na dno przewróconych; tych pogruchotanych, a tych skaléczonych. Tam to Szembek, rodzony brat biskupa teraźniejszego Płockiego, w głębią tych opoczystych parowów z końmi, powozem w padł i zabił się, i takich bardzo wielu innych. Te przykłady ostrożnym mię czyniły; bo nawet powóz, który w

kilku miejscach, jedną stroną sięgał parowu, weturyn z mojim lokajem musieli unosić, a ja prawie trzy mile polskie wędrowałem pieszo, i to w kraju skalistym i pustym, bez wsi, bez chaty, bez człowieka, między gadzinami tu i owdzie z lochów wychodzącemi. Co więcéj nawet, żeśmy się o mało nie pogubili bo na ostatek jakem przyszedł do wsi, wstąpiłem do kaplicy przy trakcie stojącéj, i tam się modląc, gdym się długo ludzi niemógł doczekać, idę daléj myśląc: że mię nadjadą, a idąc rozumiałem, że idę ku Wenecyji: a mnie się tak w myśli i oczach zmąciło, żem szedł nazad, na powrót. Aż oto! trafiam na mojich ludzi, zdumiały, ręce ku niebu wynoszę, że się tak stało; bo cóżbyto było, gdybyśmy się byli chybili!

Przeprawiwszy się przez te dzikie i niebespieczne miejsca kraju weneckiego, trafiłem na kraj, jaki rajem nazwać mogę; bo rozumiem, że przeszło dzie-

więć mil polskich jechałem między pałacami i przedziwnemi ogrodami panów weneckich. Miejscami już żniwo widziałem; jużem się przesmacznemi wiśniami i tereśniami za tanie pieniądze ochładzał i nasycał: i tak w wesołości serca stanąłem 14º Maja na południe w Mestrze, wiosce leżącéj pod Wenecyją.

Z Mestry wyprawiłem weturyna lądem do Padwy, gdzie na mnie miał czekać, a ja z lokajem gondulą, albo łodzią o milę z Mestry lagunami morskiemi dostałem się do Wenecyji, chcąc trafić na sławną ceremoniją zaślubienia sobie morza adryjatyckiego przez dożę, albo książęcia Weneckiego, która ceremonija zwyczajnie co rok odprawuje się w święto wniebowstąpienia Pańskiego. Zawiodłem się jednak w téj mojéj nadziei; bo dla burzy wielkiéj na morzu, odłożono ceremoniją na niedzielę, w którą, gdy jeszcze nie uspokojiły się nawałności, w następujący świętny dzień

miała się odprawić, ale na nią czekać nie mógłem. Przynajmniéj dostało mi się widzieć centaura (a) tak się nazywającą gondułę, albo łódź, czyli wielki statek sto tysięcy szkudów (czynią 50,000 dukatów) kosztujący, ozdobiony misternemi rzeźbami i figurami, które drukowana książeczka cała*) tłómaczy ów okręt wewnątrz i z wiérzchu bogato wyzłocony, już z arsenału na kanał wielki był wyprowadzony, i przygotowany do ruszenia na morze dla sprawienia téj zaślubiającéj ceremoniji. W tym centaurze mieści się doża, patryarcha wenecki, nuncyusz papieski, posłowie cudzoziémscy, cały senat, i szlachta wenecka. Byłem w tym centaurze i wszystko w nim widziałem. Majtkowie do niego tak pięknie i bogato byli wystrojeni, jak stroją monarchowie laufrów: przytym były pełne wszystkie kanały morskie, między-uliczne, nawami, albo

---

*) Łódź tę nazywano bucentaurem, a nie centaurem.

gondołami zatkane do zabiérania na ten akt mnogości ludu i cudzoziémców, przychodnich na tę walną Rzeczypospolitéj uroczystość. Tak zatem nie widziawszy ceremoniji zaślubin morskich, nasyciłem tylko ciekawość moją, jakim sposobem w tém mieście w płaskiém morzu zakładają fundamenta pałaców, za pomocą skrzyni zrobionéj z palow fugowanych i wbitych w morskie dno, według proporcyji szérokości i długości placu. Z téj skrzyni więc wyciągają machinami wodę, a potém zakładają fundamenta i kamieniami murują budynek. A co suszy głowy fizyków z jakiéj przyczyny dziéje się fluxus et refluxus morza, t. j. wezbranie i opadnienie i to dwa razy na dzień? A ja widziałem, że blisko na półtora łokcia opadała i znowu na półtora łokcia rosła woda; uważałem także, że po wielu wyspach, na których całe stoji miasto, niemasz inszéj do picia i do gotowania wody, tylko, albo z rzék

przywoźna, albo z dészczów chwytana i zachowywana, a przeto ciepła na pragnienie.

Chléb tak w tém mieście, jako też w całem państwie Weneckiem tak twardy, jak kamienie, bo ciasta nie ruszają. Rozumiem, że to robią z prawa rządu, aby ludu nie oszukiwali piekarze nadęciem chleba drożdżami, albo potażem, lub wapnem.

Tem wszystkiem ciekawości mojéj zadosyć uczyniłem, resztę sobie zachowałem na powrót, i pożegnałem austeryją, jak pałac najśliczniejszy, w którym po wielu pokojach podłogi były jak z jednego całego kamienia, oblane jakąś masą lustrowną i przezroczystą, jak zwierciadło. Wsiadłem na statek wielki i płynąłem przez laguny, czyli nie głębokie morze, a potém lądem przyjechałem do Padwy o mil polskich pięć od Wenecyji odległéj. Tam zastałem wielką taniość żywności, dobry w austeryji ob-

jad i wieczerzą, które zemną jadł tameczny penitencyjarz, franciszkan i szlachcic polski z Krakowskiego (bo dla Polaków zawsze tam jest penitencyjarz Polak). Nawiedziłem tam cudotwornego świętego Antoniego kaplicę i ółtarz, na którym wystawiona jest trumna wielka śrébrna. Tu w Padwie czekał na mnie mój weturyn. Wsiadłem do karety i jeszcze połdnia państwem Weneckiem jechałem, i stanąłem po południu 18go w Ferarze, mieście papiéskiem, które co do planty, jest ze wsyzystkich miast włoskich najregularniéj ułożone, bo w szachownicę. —

Dnia 19go stanąłem w południe w Bononiji, mieście papiéskiem, bardzo wielkiem i bardzo ludném. Odtąd, jechałem krajem płaskim, przedziwnym prawie rajskim, napełnionym pałacami, ogrodami i winnicami. Widziałem laski morwowych drzéw na żywienie robaczków jedwabniczków; tóż i gajiki drzéw

oliwnych, których liście podobne do liścia naszego złotowiérzbu, albo łozy, czyli rokiciny. Role są czarne. Po pięć par wołów w pługu widziałem że miejscami orało. Po miedzach ról wysadzone stoją drzewa gruszkowe, jabłonkowe, po stajach zasadzone. Bononija po Rzymie w stanach papiéskich najsławniejsza i najludniejsza, bo znacznéj części złożona jest z pałaców, które zamiészkują panowie wielcy, a te pałace są ozdobione perspektywami i lantszatami, wynalazkiem matematycznym. Taniość tu wielka. Gołębięta, po bonońsku karmione, wszystkie smaki w jedzeniu przewyższają. Tutaj to stolica na te pieski tak ulubione od Polakow. Przez ciekawość byłem u jednéj madame, czyli ochmistrzyni tych piesków bonończyków. Była tam sala na sto gniazd i cała napełniona. Każde psiątko leży w swojim koszyku miękko wysłanym; ale niechiałem tego specyjaliku, a raczéj smro-

du drogo kupować. Wolałbym był widzieć i mówić z jedną panną mistrzynią w każdéj nauce w akademiji Bonońskiéj i jubilatką laurów doktorskich, ale niechciało mi się słuchać mądrości kobiécéj, za moje własne pieniądze.

Z Bononiji, dnia 20º ruszyłem, od któréj o milę górami wielkiemi ciągnąłem aż do Florencyji. O tém mieście powiadał jeden książe, elektor Saski, że cudzoziémcom nie potrzeba je widywać, tylko w dni święte, a to dla uszanowania piękności tego miasta. Jakoż prześliczne jest i bardzo wielkie, a wkoło miasta setne pałace z roskosznemi ogrodami i polami urodzajnemi, rozweselają serce. Bije w oczy wielki oliwny gaj; murem pod miastem opasany; bije w oczy i zdumiéwa osadzony przed bramą miasta arkus misterny z marmuru najczyściejszego i najbielszego, jak istny śniég i quasi zwiérściadło. Jest ten

arkus jak brama jaka wysoka i széroka na kilkanaście łokci.

Tu mi się trafiła szczególność godna pamięci. Idąc ulicą obszérną, widzę kawalera na przeciw mnie idącego. Ja ku niemu, on ku mnie; z przeniknieniem się nadością ręce wyciąga, a nie wiedząc przedtém o sobie, jakbyśmy się znali kto jesteśmy; witamy się polskim językiem, ścisnęliśmy się serdecznie. Powiadam mu kto jestem; on mi też powiada kto jest. Był to szlachcic szląski od granicy ziémi Wieluńskiéj zwany Strachwitz, imiennik sufragana Wrocławskiego, trzydzieści lat w wojsku florenckim służący: na ten czas był kapitanem w gwardyji. Tak on dobrze mówił popolsku, jakby dopiéro dziś z polski się wyniósł. Prosił mię do siebie usilnie na czokoladę, ale niemiałem czasu; bo Weturyn nalegał o wyjazd dla drogości, prawie równéj jak w Wenecyji, a mnie też trzeba było oglądać co

więcéj we Florencyji. I widziałem kościół katedralny jeszcze wspanialszy, niż w Wiedniu: mogę śmiało rzec, że dwa razy nad nasz Gniéźniéński wyższy i większy*). Lustrowałem zamek starodawny książąt florenckich; w nim nic nie masz, ani do struktury, ani do piękności, oprócz że w jednéj sali niezgrabnéj, sufit miéjscami upstrzony jest blaszkami szczérozłotemi.

Trafiłem na ten czas, kiedy wielki książe florencki, brat teraźniejszego cesarza, z całą familiją swoją konwojował siostrę swoją, zaślubioną królowi obojga Sycyliji, do Neapolu. Więc miałem wolność lustrować pałac nowy, nawet być w pokoju sypialnym książęcym. Pałac ten nie jest szczególniejszym. Podobny jest w galeryjach do zamku Kra-

*) Wieża przy kościele z marmuru białego, a opodal od kościoła drugi kościół wielki S. Jana, cale okrągły, jak w Rzymie Rotunda. W nim kanonicy florenscy chór śpiéwają. Tamten piérwszy, niezmiernéj wielkości, jest bardzo ciémny. Tam téż jest w środku kaplica Lauretańska. —

kowskiego, ale go zamek Krakowski z wspaniałości swojéj bardzo wiele celuje.

Wybrałem się z Florencyji w południe dnia 22^go^ Maja.

24^go^ Miałem objad w Ricorsi w Austeryji ladajakiéj, ale jeść dobrze było. Przejechałem mimo Radicofani i nocleg odprawiłem w miejscu, gdzie jedna tylko austeryja stała, ale pożywna.

25^go^ Maja wjechało się w papieski kraj, który przerywały (jako wyżéj) stany księcia Florenckiego.

26^go^ Maja, ciągnąłem żyznym krajem, ale nie wszędzie obsianym, na Witerbo, miasto papiéskie. Koło Witerbu dziwiłem się wielości niezmiernych stad kóz, które są wszystkie białe, ale nie wielkie. Pędzono je na pastwiska — na skały.

Z Witerbu przez las pinelowy, to jest: sosnowy jak u nas, tylko, że mają sosny szyszki jak talérz szérokie, z któ-

rych do potraw smaczne ziarna, to jest: pinele kupujemy.

W trakcie tym, lubo pola i role są równe i prawie ziémia może się nazwać ziémią obiecaną, a przecie Włochów lenistwo sprawia, że nie orzą, nie sieją, tylko się gnuśni cisną do miast, około których tylko winnice i oliwne i morwowe chodują drzewa. —

ROŹDZIAŁ IX.

Pobyt w Rzymie.

Dojeżdżając do Rzymu oblewałem się łzami z radości i podziękowałem Bogu, że mi dał oglądać tę apostolską stolicę, przyprowadził do niéj w zdrowiu jak najlepszém. Przybywszy do tego miasta, zajechałem zaraz do domu naszego polskiego nacyonalnego, to jest: do szpitala S⁰ Stanisława. Odezwałem się był

z Wenecyji na pocztę do Kś. Górzyńskiego, kanonika Krakowskiego, młodego referendarza koronnego dzisiejszego o stancyją w tymże domu, którego on był rektorem, i zastałem ją gotową po ks. Żołędziowskim, kanoniku i akademiku Krakowskim, który w Rzymie miészkał lat 14ście w sprawie kanonizacyji S⁰ Jana kantego, Krakowskiego akademika. — Zakończył on tę oczekiwaną przez kilka wieków od ojczyzny naszéj dla patrona swego świętość, przez policzenie Jego w poczet świętych od Klemensa XIII. w roku 1767. Apartament ten dla mnie był porządny, pięknemi meblami opatrzony, położony nad samą zakrystyją, tak, iż z pokoju oknem, które było z boku na sam wielki ółtarz, mogłem słuchiwać mszy ś. Zapłata od stancyji umówiona, jest co miesiąc na czerwony złoty jeden. Cała podróż z Gniézna aż do Rzymu, kosztowała czerwonych złotych sto. Lokaja

Włocha nająłem na jeden tylko miesiąc za dukatów trzy. Ten mi od traktyjera kardynalskiego za pieniądze objady nosił, specyjaliki Rzymskie kupował, czokoladę gotował.

Polaków na tenczas, kanoników, kapłanów, kleryków, zakonników rozmaitych liczyło się w Rzymie wsystkich na 70. osób, którzy jeden po drugim schodzili się do mnie na powitanie; ja także odwizytowałem ich.

Zabawy moje były w tem świętém mieście, obchodzenie kościołów prawie codzień, a najczęściéj Watykańskiego; z Jezujitami przyjaźnienie się, od których jenerała godnego i świątobliwego, odebrałem dyplom, na ucześnictwo z jego zakonem wszystkich sufragijów, które nie zwykły bywać komunikowane, tylko udzielnym książętom, i fundatorem kolegijów tego zgromadzenia. Ten jenerał, był Ricci, w więzieniu in Castro Angieli po zgaszonym tym zako-

nie w opiniji świątobliwości zmarły. Pałace rzymskie zwiédziłem osobliwie w tenczas, kiedy cały prawie Rzym z Rzymu wyjéżdża na kampanije, tojest: na wolniejsze powietrza użycie pod czas (jak zowią) wiledziatury, która się zaczyna od połowy Września i ciągnie się więcéj nad miesiąc. Ta zaś pora czasu, jest tam najmilsza, najzdrowsza i najweselsza, tak dalce, że zaczwyczaj sami nawet papiéże pod tenczas wyjeżdżają z Rzymu, do którego z pałaców swojich o kilka mil na użycie téj niewinnéj rozrywki. Wtedy wszystkie trybunały Rzymskie ustają. Starożytności Rzymskie, kolosy, obeliski, piramidy, fontanny, oraz nowe wynalazki, a nadewszystko przedziwne kościołów struktury, pociągały do częstego ich oglądania ciekawość moję.

O teatra i komedyje, jako te nie są przyzwoitym objektem dla duchownego, tak cale niedbałem.

WDomu tym naszym nacyonalnym nie miészkałem tylko ćwierć roku; bo dla zamkniętego w nim powietrza nie dobrze mi w nim było: zgodziłem więc stancyją na miesiąc za szkudow piętnaście, które czynią czerwonych złt. półosma, a to z apartamentem dla mnie pięknym, obiciami, meblami, pościelą zawsze białą i czystą, z praczką, objadem i wieczerzą aż nadto hojnemi: ale jednak lokaj mój musiał rozporządzać w kuchni gotowanie do polskiego smaku.

Okna zawsze w dzień miałem otwarte, bo za mojéj bytności nie było w Rzymie ani śniegu, ani zimy, tylko przez trzy dni nowego roku był nie mróz, ale mały mrozek, który zwarzył małe sopelki wody na fontannach. I dziwowałem się, gdy Włocha, a jeszcze bardziéj, gdy Polaka drżącego od zimna widziałem. Ale ja codziennie wychodziłem i przechadzałem się po targowisku, albo placu, czyli rynku bardzo wielkim, otoczonym

z jednéj strony Capitolio, na boku, arkusami starodawnemi, a z trzech strón kościołami. Natym placu jednego dnia w tydzień w każdą, zda mi się, Środę, sprzedają niezmiernie dwa razy ogromniejsze woły, niż Ruskie i wieprze bez siérci, gołe, klapouche, potężne, które podprowadzają pod dom, niby pod jaki ratusz, tam taksują je wysadzeni z kongregacyji Annonse duchowni i świeccy, a według ich taksy kupują je rzeźnicy. Plac ten wielki zowie się Campo Vaccino. Drugi zaś plac, albo rynek, zowie się Riazza Nazona, w sród którego trzy są przedziwne fontany. Te jak otworzą, tak pręciuteńko cały ten plac zatopią wody, miejscami na łokieć, miejscami na półtora łokcia wysoko, a otwiérają je w miesiącach Czerwcu, Lipcu i Siérpniu w każdą, zda mi się, Sobotę. Tam się zjéżdżają Rzymianie i z okolicznych domów patrzą na ten miły potop; inni na pobrzeżach wysoko

pod kamienicami wymurowanych, stoją. Wszyscy z téj wody chłód w siebie ciągną, i duchy swoje ożywjają, a karety z końmi po téj żywéj krynicy przechodząc się tam i sam brodzą; a tym sposobem powietrze schładza się i czyści.

Niezaniedbałem przezierać jatek mięśnych, rybnych, leguminnych, ptaszych, magazynów zboża, siana, a na te porządne dyspozycyje patrząc, wzdychałem! *O to tu wszystkiego dobrego są przykłady! Wszystko przednie.* I niech mówi kto chce, taniéj tu żywność się kupuje niż w Wrocławiu, niżeli w których mniejszych miastach Polskich. Funt mięsa wołowego po groszy pol: 8m i 9ć. Ale jakież to mięso? A to wzylędem naszego, jak bażant względem kury, smaczne, a smakiem kraju swego szczególnym, słodkim i miłym, tłuste, ale nie taką tłustością łojową, jak u nas, lecz tłustością nieznacznie przenikającą całą masę mięsa. Ryby

morskie wyśmienite. Pająków tylko morskich, choć te są specyjałem dla Włochów, ciérpieć nie mogłem, raz tylko spojrzawszy na nie rozpłatane jak szczury.

Gęsiami Włochy brzydzą się i ich nie jedzą, ale za to indyków pewnie sam Rzym więcéj pojé, niżeli cała Polska. Niezmiernemi stadami przypędzają ich z obojga Sycyliji do Rzymu, a poganiają je długiemi na 4—7 łokci błotnistemi trzcinami z kitką na końcu.

Gołębie wielkie i dobre, i nie mało ich ma to miasto. Dziwowałem się, że na jednym pniaku dwa będąc osadzone kowadła, tu na tém kuje kowal, a na drugiem siedzi gołąb na jajach, a w nich ani się boją pukania pisklęta. Séry wyśmienite równają się Parmezańskim, które tu widziałem tak wielkie, jak młyńskie kamienie; pytałem się czemu tak jest? i dowiedziałem się, że od wielu krów wydojonych razem, zrobiony two-

róg, razem wyciskają na tak wielką formę séra.

Win wielorakie są gatunki: włoskie, neapolitańskie, florenckie, najlepsze dla nas Polaków z powiatu papiéskiego d'Orvieto, wypili go u mnie polacy i poniekąd włochy przez trzy kwartały, na 200. butelek. Butelka z czystego, ślicznego, cieńkiego szkła, w któréj jest blisko półtory kwarty Wrocławskiéj, płaci się po jednym złotym polskim.

Węgierskich win szczépy już się tu nieudają. Kardynał Albani miał winnicę swoją zasadzoną szczépami węgierskiemi. Wina te, lubo tęgie, nie są do węgierskich podobne.

Zwiédzałem różne botegi, to jest kupieckie, rzemieślnicze sklepy, i zdumiéwałem się, że tam ubóstwo obok z przepychem chodzi. W sklepie, albo botedze pięknie, czysto, statuy, busta z przednich oryjentalnych marmurów; obrazy prześliczne, zwierściadła i lustra paradują. W izbie zaś u pana tych rzeczy i domu bezecnie; mąż, żóna, dzieci, w pościeli brzydkiéj, nadzy, jak pasternaki, z roztarganemi włosami leżą. Tak oni szanują koszul i biélizny, żeby się to długo zachowywało, ale nawet i ci, lubo dla siebie nędzni i nie ochludni, dla cudzoziémców wspaniałe i ochędożnie przybrane trzymają apartamenta za tanie pieniądze. O, jakżeż byto w Warszawie opłacać trzeba!

Ludzkości Rzymskiéj wychwalić zadosyć nie można. Doznałem jéj po wiele razy. Gdy idącego napadla potrzeba, już ci domyślny włoch wypada z botegi, i woła, „*oto sam Mości Panie iść potrzeba*" i sam na miejsce zaprowadzi. Gdy dészcz zaskoczy to prosi, aby się schrónić do jego pięknej botegi, albo téż bierze parapluie, to jest: baldechimek i zaprowadza do stancyji. Raz błądzącego po tem niezmiernem mieście,

bom nie mógł wcześnie powrócić, podczas ciemnéj nocy, nieproszony Włoch z latarnią do stancyji, do któréj bym był nie trafił, odprowadził.

Kiedy obchodzącego miejsca godne widzenia zatrzyma wielka jaka ulewa, (bo to bywa często w Rzymie, że dészcz pada, nie kroplami, nie strumyczkami, ale jakby cała chmura spadła, jak z rynny, jak z cebra leje) zaraz na pogotowiu znajdzie się grzeczny Włoch, który się ofiaruje odprowadzić, i odprowadza cudzoziémca tam, dokąd chce iść. Za tę zaś fatygę, małą płacą się kontentuje. Miłosierdzie zdaje się tu panować. Bogaci mają swojich rejestrowych ubogich, którym, co tydzień dają jałmużnę. Wstydzący się żebrać w osobliwszym są tu względzie. Nie boji się tu swojéj upodlić godności księżna, albo hrabina jaka, gdy usługę czyni chorym w szpitalach złożonym. Z miłosierdziem łączą nabożeństwo, a

to z taką skrómnością, że nie obaczy w Rzymie, aby się która powodować za rękę dała do kościoła, albo żeby do niego przyszła upiększona, tylko w zwy czajném odzieniu, kwefem skryta, się modli. Ja więc mówię z doświadczenia, że w tém świętém mieście, nie tylko nauk, ale i cnót dają pradwidła. W takiéj mnogości ludu, za mnie tylko dwóch ludzi osądzono na śmierć.

Trafił się téż przypadek, że prałata Antenellego, w środ południa, utknąwszy w piérsiach jego nóż w stancyji własnéj, zabił jeden hultaj, i tak zniknął, że go przezorni (jak wiadomo) zbirowie nie mogli nigdzie wyśledzić. Ten zabój przecież stać się miał z dekretu Rzeczypospolitéj Genueńskiej, za to, iż ten prałat, choć jéj był poddany, pisał przeciwko niéj za korsykanami, wybitemi z pod jéj władzy.

Rzymu jak puszczy jakiéj jest wielka rozległość; trafiało mi się milę włoską

jednę, i drugą, schodzić wizytując jakie miejsca święte, i zpóźnić powrót aż do ciémnéj nocy, jednak nigdy nie trafiłem na napastnika. Z tąd się pokazuje fałsz potwarzy, którą roku przyszłego (1787) znać z podania nieprzyjaciół stolicy apostolskiéj wydrukował pamiętnik Warszawski, jakoby za panowania teraźniejszego papiéża Pijusa VI. pozabijano w Rzymie samym, dwadzieścia tysięcy przeszło ludzi. Opatrzność w Rzymie wielka. Ma tam żebrak zkąd inąd się pożywić, a nie z rozboju. Jeżeli pielgrzym? to znajdzie uczciwy stół po szpitalach do pewnych dni? Jeżeli inny uczciwy wojażer, choć niedostatni? znajdzie po traktyjerniach za mały grosz zieleniny zdrowe, po ulicach arbuzy, kasztany prażone, tudzież wszelkiego gatunku owoce. Tak się oszczędny za lichy grosz utrzymać może. Do podziwienia to mego było: cytryna za dwa polskie szelągi. Sok

się w wodę do wypicia wycisnął, a cała skórka z wnętrznościami oknem się wyrzuciła, co jednę Włoszkę przywiodło do skarzenia się na mnie, że jéj psuję wodę w studni, wrzucając w nię cytryny. Odzienie w Rzymie może być bardzo tanie, bo tam pełno jest nowych prawie sukien, z pięknych rozmaitych materyji, które po prałatach, kawalerach, przedawają, byle mieć wiadomość, żeby nie po suchotnikach.

Zdumiewała mię też tamtejszych osłow taniość; za zlt. pols: 7. lokaj mój kupił osła, ktoreg o znów odprzedał.

Ludzkość w Rzymianach nie porównana z innemi narodami. Znałem kilku Polakow, z których każdy pozapożyczał się po kilka set dukatow: po lat kilku oczekiwali cierpliwie powrócenia sobie długu; ja za jednego założyłem, a u drugich poprzepadało, ze wstydem dla kraju naszego. Nawet u Rzymskich żydów znajdzie tę ludzkość, kiedy

mi jeden tego narodu kupiec dawał na kredyt dziesięć tysięcy szkudow, które wynoszą sto tysięcy złt. pol. Czyliż się znajdzie w innym narodzie takowa uczynność? Wizyty z godnemi ludźmi tu cóżkolwiek kosztują, bo na początku Siérpnia, na początku nowego roku, na imieniny obsyłają się komplementami, i płaci się lokajowi, który przychodzi od Pana swego z tą ceremoniją, zowie się to mandzia. Takież mandzie płaci się burgrabiom pałacowym, którzy po wszystkich apartamentach panów swojich, wojażującego oprowadzają i okazują owe splendory, obrazy, i prawie cuda w osobliwościach znajdujące się: Ale te mandzie, ta zapłata nie jest kosztowna. Polskie usłużenia, choć nie wiele warte? daleko więcéj wyciągają.

Chcę sobie zrobić z rodakami kompanią? znajdę u zamówionego sobie oto traktyjera prześliczny, dostatni traktament z winem na każdą osobę po pau-

low trzy, które właściwie tylko dwa tynfy polskie czynią. Gdzież tego dokaże w mojéj ojczyznie?

Klemens XIV. papież w listach swojich już po polsku tłómaczonych napisał; że choć byś miészkał w Rzymie sto lat, co dzień w nim co nowego obaczysz. Niech to będzie hyperbolą i exageracyą. Co do mnie? szczérze wyznaję, że ustawicznie bywając w kościele S. Piotra, w nim dziś widziałem, czegom wczoraj nie, i tak dalej. Codzień mi się zdawał bogatszy, codzień osobliwszy, co dzień cudowniejszy; nigdy za dosyć oczu, serca, ciekawości, ukontentowania ludzkiego nienasycający, jak by był nie rąk ludzkich, ale Boga samego dziéłem.

Kawalerowie Angielscy, których tu nie mało przebywa, prawie od siebie odchodzą, jak zawzięci wpatrując się w te cuda sztuki i natury. Cóż mówię o całym Rzymie? Co o miastach wszy-

stkich Włoskich? Jest tyle ksiąg, opisów ich, żebyś z nich całą złożył bibliotekę: do nich ja ciebie odsyłam; ja tu tylko te malutkie rzeczy namieniam, które niegodne były pióra autorów i pisaryz.

W tympobycie mojim w Rzymie przekonałem się, że tylko tacy Polacy, co już w Ojczyźnie się wydoskonalili jeździć do Włoch powinni; bo ci, ktőrzy to tylko troche łaciny, troche lojiki liznęli w kraju swojim, hańbią naród swój i tam się niczego nie uczą, bo o sobie wysoko rozumieją, jakoby już z zupełną sapijencyją do Rzymu przywędrowali, a oni stanu ojczyzny swojéj nie znają. Wszystka ich zabwa, teatra, przechadzki, a co gorzéj, podchodzenia swojich ziomków w kanonijach i beneficyjach, plotki i potwarze na swojich rodaków: oto jest cały ich zagraniczny polor. Znałem i znam powróconych z tamtąd, i zdumiewam się, jak mogli zo-

stać kapłanami, choć ad Solam Missam: bo piérwszych początków teologiji nie znają ani Corpus Juris, to jest: prawa cywilnego i kanonicznego tak, żeby ich trzeba na naukę z gruntu do naszych seminaryjów, odsyłać. Strzegłem ja się z takiemi półgłowkami, młodzikami, mieć sprawę, albo im poufać. Dobra rzecz młodego posłać do Rzymu, ale go trzeba oddać do jakiego kolegijum, żeby był pod profesorami, i pod karnością. Znałem i znam takich, którzy w nich po lat kilka byli, i stali się kościołowi i ojczyźnie użytecznemi.

Jest coś sympatycznego w Rzymianach ku Polakom, że w nich nie cenzurują defektów, nawet ich nie widzą. O pielgrzymie Polaku pijanym nie mówią, że to Polak, ale, że niemiec „*Tedesco Ubriaco*.“ Czyli téż w nich znajduje się miłość prawdziwie chrześcijańska, że ustepują i przebaczają ułomności ludzkiej: co dowodzi, przypadek nastę-

dujący. W sprawie, ktorą miał z biskupem jednym o jurysdykcyją pewny klasztor, zastałem w Rzymie prałata, infułata tego klasztoru z trzema, czy cztérema zakonnikami swemi. Prałat ten (był to Polak) tak się raz upił, że z nóg spadł i na bruku na ulicy jak nie żywy leżał. Nadjéżdża go na tenczas kareta kardynalska; stangret zsiada z kozła, ogląda, chce go trzeźwić, ale widząc, że nie jest zemdlały, tylko opiły, bierze go za pomocą inszych, wsadza do karety i zawozi do klasztoru bliskiego zakonu jego, poznawszy z odzienia jaki był zakonnik. Dobry ten stangret nie głosił tego trafunku, nie obgadywał pijanicę Polaka, cyt wieczne. Był to panicz z księstwa Oświecimskiego, gdzie miał substancyji kawał znaczny, ale jéj utracił kilkadziesiąt tysięcy. Nosił on prałacki krzyż w Polsce i piérścienie, ale je przemarnował na sprawę swoją nie dobrą z biskupem. Chciał

mi się on insynuować, radę wziąść, alem unikał od takich kłótnikow ziomków, tak jak unikałem od drugiego kompatryoty w kolegijacie pewnéj prałata, którego pan mój, prymas Łubieński na wizycie sprawiedliwie z posiadanéj wyzuł prelatury. Poszedł on od dekretu privationis do Rzymu, gdzie, po mojim odjeździe, w kilka lat umarł. Człowiek ten, jak jaki awanturnik, raz miał pieniądze, drugi raz nie miał: Zastałem go w Rzymie bardzo odartego, jużci znowu w krótce niczego mu nie brakowało, była suknia dobra, stancyja nie uboga, były i piéniądze, których mu i na karty dostawało; miał on zawsze pełną kieszeń zaświadczeń od panów świeckich Polskich o urodzeniu swojim i o talentach, o obyczajach (taję zawsze nazwisko, gdzie idzie o niesławę). Chciał on się do mnie wplątać, ale znając człeka w Polsce zbywałem go. Trafił on przecie na mnie, kiedym miał u

siebie kilkunastu Polaków: pokazuje listy korespondencyjne swoje, które miał z kimsiś w Raguzie; pokazuje wiérsze różne i satyry, pełne potwarzy na króla naszego, na pana mego prymasa, lubo już nie żył, na Młodziejowskiego, na tenczas podkanclerzego, i te listy i wiérsze, i paszkwile zostawił u mnie, ktore spaliłem, jak się kompanija rozeszła, a to uczyniłem dla tego, żeby ten plotka wierutny nie roznosił ich po Rzymie według swego zwyczaju; żeby królowi i piérwszym panom, sławy nie brał: a tém samem, żeby sobie nie zaszkodził. Był na tenczas w téj naszéj kompaniji jeden języczny N. N., który przed ministrem Rzeczypospolitéj naszéj Antici wszystko wybajał i wyplótł. Minister przybywa do mnie, chce się lepiéj dowiedzieć o takiéj kalumniji. Odpowiadam mu, że nic niewiém. Mówi minister: *Wszak te mowy były u W Pana? Prawda, ale ja takich*

mów nie słucham. Jednak W Pan musisz wiedzieć, powiedz mi o tym wszystkim, bo do mnie, jako do Ministra Polskiego należy zabiegać, aby sławy króla i panów Polskich nienaruszano. Bardziéj mię interesuje (odpowiadam mu) *honor Ojczyzny mojéj, któréj, tak mały człowiek, jak ten bajarz, nie zaszkodzi. Ha! to ja W Pana oskarzę do Warszawy. Oskarz! takiém podłem podchlebstwem* (mówię do niego) *nie zrobisz sobie kredytu, bo u nas bajek nie słuchają.* Jakoż pisał przeciwko mnie do podkanclerzego, w tenczas Młodziejowskiego. Podkanclerzy listownie do mnie niby się trochę użalił, jakobym pokrywał bajdę tego, alem mu odpisał, że mali i podli ludzie zwyczajnie nie gadają przeciwko woźnicom, ale przeciwko wielkim ludziom: a tak cyt wielkie. Nigdy mi potém nie wymawiał téj dyskrecyji Młodziejowski. Ow jednak plotyniec poszedł w areszt ad Castrum Angeli: ale mu tam było

lepiéj, niż w swojej stancyji: Osadzony (a w karecie przywieziony) na najzdrowsze tamże w pokoje, z których był cale prospekt otwarty i najweselszy na kościoł S. Piotra, na obszérny pałac Watykański. Apartament jego był cale miluteńki, jedzenie smaczne i dostatnie bez kosztu swego.

Nawiedzałem go tam po dwa razy, i napatrzyłem się w téj fortecy armat rozmaitych i widziałem tę śpizową śliczną armatę, z której zabito książęcia krwi francuskiéj de Bourbon kulwina z wojskiem Karola V cesarza, Rzym atakującego*). Ten jednak wolny więzień, był mi niewdzięcznym za to, że satyry i paszkwile zatraciłem upierając się, żeby go były obroniły, ale to gadał przeciwnie, bo by go były, albo na galery, albo przynajmniej na wygnanie z Rzymu potępiły. Wszedł on był

*) Za Klemensa VII. papiéża roku 1627.

także w awantury z jednym opatem w Węgrzech, ktory mu kilka set szkudów na utrzymanie sprawy i na proces powierzył. Ale on i sprawy téj w Rzymie nie skónczył i piéniądze utracił.

Znowu także w Rzymie trafił mi się awanturnik kapłan grecki, unit, proboszcz ze Zwańca. Przyszedł on jak ubogi pielgrzym w jednéj sukni i podtym płaszczem przysłała go tu konfederacyja Barska z listami do papiéża. Miałem ja te listy w ręku i czytałem je, bo były otwarte, ale z temi nie czytanemi i nie przyjętemi od papiéża listami, ten kapłan unit, zaraz nie bawnie musiał odejść z Rzymu.

A przed mojem przybyciem był tu urzędnik i obywatel z księstwa Litewskiego, także od konfederacyji tego księstwa zesłany do papiéża ze supliką o ratunki dla ojczyzny, i o protekcyją do utrzymania wiary. Litwin ten był

dobrze w Rzymie przyjęty sprawił nabożeństwo publiczne w téj stolicy, o dobro naszego królestwa: od kardynałów, prałatów, książąt, panów, dam, ludzkości doznawał. Strój Polski, w który się ochędożnie ubiérał, Rzymowi się bardzo podobał, ale dla ojczyzny, oprócz dobréj woli ojca S^{o} i kardynałów, nic nie mógł zyskać i tak z niczym odjechał, manifest tylko jego w Wenecyji, jak przeznią przejéżdżał, do druku podany w polskim języku, gruntownie za ojczyzną ułożony, w krótce potém czytałem. On zaś bojąc się w kraju swojim pokazać, wyboczył do Węgier do majętnego koligata swego, Wilczek zwanego. —

ROŹDZIAŁ X.

Powrot do kraju.

Tymczasem wybuchła w Polsce konfederacyja Barska, zkąd mnie téż przyszło pomyśleć o śpiesznym do kraju powrocie. Zakochanie się moje w świętém mieście Rzymie wiązało mię w niem zamiészkać: bo nie tak w tém słowie Roma znajdują się anagramatyczne słowa *„amor i mora“* jako w sercu i chęci tego, kto pozna Rzym. Ale trzeba było ustąpić potrzebie. W Rzymie żyć z kwesty i jałmużny, już mój stan nie dopuszczał; a z ojczyzny weksle odbiérać, pustoszenie jej, żadnej mi nadzieji nie czyniło. Więc zostawiwszy in Sacra Rota na pewnéj drodze wygrany proces kapituły Gniéźnieńskiéj z Miechowitami, kanonikami grobu Chrystusowego, ja sam zacząłem się

wybierać do polskiéj podróży. Tu zważyć traf! Na rok 1769. matematyk w mieście papiéskiem Faenzie, wydał kalendarzyk, który jeszcze mam; w nim napisał te słowa: *Teatra będą otwarte, ale będą zamknięte, nim się skończy mięsopust:* a dalej pod dniem 2^{im} Lutego napisał te słowa: *Wszakem przepowiedział.* Mniéj się to czytając uważało, dopiéro potem skutek odkrył tajemnicę. Wiedzieć trzeba, że każde miasto papiéskie ma teatrum, ale jak papiéż umrze, to zaraz takie teatra ustają na znak smutku, i żałoby. Owóż na tenże sam dzień 2° Lutego przypadło matematyka tego okropne wywróżenie, kiedy dnia tego świątobliwy papiéż Klemens XIII. nie chorując, umarł nagle. Papież ten stawiał opór najmocniejszy królom domu Burbońskiego, którzy koniecznie tego pragnęli, aby skasował zakon Jezujitów, i w téj rezolucyji dotrwał aż do śmierci. Słyszałem ja

przecież z ust samego świątobliwego Jezujitów jenerała Ricciusza, że on sam prosił Ojca świętego, aby ich zakon skasował, dla uspokojenia monarchów i dla pokoju swego i stolicy świętéj. Ten jednak papiéż niechiał się na to odważyć, przewidując z Ducha ś., jaką szkodę przez zgaszenie tego zgromadzenia odebrałaby święta religija nasza w Chinach, Indyjach, Ameryce; jaką górę Jansmizm, Deizm i Atheizm wziąłby, i jaki upadek w dobrych naukach i obyczajach, potkałby cały? okrąg ziémi. Te zaś okropne skutki téj kasacyji już ze smutkiem i żalem widziemy i prawie ich się rękami dotykamy. Alec przecie stało się, co się stać miało.

Jenerał jezujicki z taką powolnością, jak ów Abraham jedynaka swego, 20,000 synów swojich na przebłaganie majestatów ziémskich chciał ofiarować. Namiestnik Chrystusów, jako Bóg nie-

gdyś samą chęcią Abrahama się kontentował, wolał się sam w przód pogrzebać (jakoż to mu śmierć przybliżyło), niżeli za życia swego patrzyć na tyle mogił zamęczonéj niewinności, i na tyle tysięcy pogrzebanych ceremoniji takich eksekwiji z przedwiecznych wyroków, zostawił następcy swemu.

Po śmierci papiéża zebrało się Conclave kardynałów, a ja téż Rzym pożegnałem, zlustrowawszy piérwéj przygotowane dla kardynałów loże w Conclave. Pożegnałem w tymże Conclave kardynała Albaniego, protektora Polskiego; pożegnałem potém Antycego, ministra Rzeczypospolitéj i innych Rzymskich oficyjalistów, tudzież wszystkich współziomków mojich, i wystarałem się na drogę o weturyna, i dobrałem sobie kompana księdza Dembińskiego, synowca Wojewody Krakowskiego tegóż nazwiska. Ruszyliśmy 5º Marca popołudniu z Rzymu, i

odwiedziwszy kościoł Sgo Piotra z poleceniem się Bogu, przez protekcyją książęcia apostołow, prosto od tego watykańskiego kościoła obróciłem się, nie tym, którym do Rzymu jechałem traktem, ale inszym wyboczyłem, a to dla nawiédzenia Loretu, na którym to trakcie widziałem dobrą ekonomiją w uprawie, obsianiu ról, winie i ogrodów, w których już na tenczas migdałowe drzewa, wielkie jak u nas śliwkowe, kwitnęły jak mléko. Drzewa także pomarańczowe widziałem (a w Rzymie tak są wysokie, że z drugiéj kontygnacyji Collegiji z Penitencyaryjuszem Sº Piotra, mogłem oknem zrywać pomarańcze). Widziałem także ule tak wielkie, okrągłe na pszczoły, jak u nas kopa siana, z samego trawertynu, to jest z kamienia ciosowego. Piękne to jest dziéło w kopulę zasklepione, tak jak daje widzieć w herbach domu książąt Barberyni.

Po austeryjach włoskich łóżka tak

bywają szérokie jak długie, piérza żadnego do nich nie używają na nasypki pościeli, ale materace i wały wełną są wytykane; dają zaś kołdry do przykrycia się. Bielizna do łóżka, lubo z płótna grubego, ale bieluteńkiego, nie tak jak w niemczech, gdzie śmierdzą piérzane pościele, czyli piernaty.

I to wiedzieć nie zawadzi że we Włoszech weturyni, albo woźnice są tak traktowani, jak panowie, których za piéniądze wiezą. Pan z powozu wysiada i prowadzi go austernik do gospody, woźnica też, jak tylko z konia zsiędzie, jest jak pan: bo od niego austerniczy sługa i powóz i konie odbiéra, a woźnicę, tak jak pana, na wygodę zaprowadza; sługa austerniczy, konie jego opatruje, napasie, napoji, kolasę nasmaruje, konie wychędoży, zaprzęże i z pojazdem wyjedzie: pan do pojazdu, weturyn na konia wsiada. Dopiéro tak wszystko przygotowawszy,

harapanik mu oddaje, a tak weturyn z panem w drogę rusza. Kto chce lepiéj w drodze jeść, trzeba jadać po austeryjach z swojim weturynem, i tak zwyczajnie się robi.

Na noc stanąłem w Lorecie, gdzie w katedrze nabożeństwo i w kaplicy w środku kościoła stojącéj, mszą ś. odprawiłem przed ółtarzem i statuą nie wielką Najswiętszéj Maryji Panny, którą kaplicę i skarbiec jéj i bogatcwa aby opisać, trzeba na to księgi, a nie pióra, nie kilku linijów i wiérszy mojich. Dosyć mi namienić, że tam się znajdują dowody pobożności i ofiar narodu naszego. W kaplicy przed ółtarzem Matki Boskiéj widziałem lampę w serce, szczérozłotą, które przed kilku laty przytomny tam książe Radziwił oddał na ofiarę Matce Boskiéj. W skarbcu zaś cały garnitur aparatu, samemi uryjańskiemi perłami wysadzanego, dawno kiedyś ofiarowała dama Polska.

Widziałem prócz tego w skarbcu perłę wielką na pół palca, wyciągnioną z morza adryjatyckiego, w którem pereł niemasz: a na niéj jest wizerunek, jak po snycersku wyrznięty statuy Panny Maryji Lauretańskiéj. Widziałem sukienkę Matki Boskiéj, w któréj chodziła, w relikwijarzu zwiniętą. Kolór jéj jest czerwonawy, a gatunek materyji nakształt barakanu. Widziałem miseczkę glinianą, okrągłą, z któréj jadała.

Kościół ten Loretański opodal troche od miasta stoji, wielki, z kaplicami w około, ale w strukturze nie jest osobliwszy, więcéj o nim rozumiałem. Przy kościele stoji pałac, czyli zamek, albo obszérny gmach, w którym miészka biskup Lauretu i całego powiatu, i w tymże gmachu mieści się całe kolegijum penitencyjaryuszów, złożone z osób, zda mi się 17tu, to jest z każdego narodu do słuchania spowiedzi. Między niemi znajduje się zawsze Polak: na ten czas był

kś. Łasiński, który nas częstował bardzo dobrym winem, zbiéranym z winnicy niegdyś przez kś. Cywińskiego, (portret jego tam jest) kupionéj, bardzo obszérnéj, z której penitencyjarz Polak zbiéra prowent na potrzeby swoje i na jałmużny dla pielgrzymów polskich. Ale teraz, po zgaszeniu Jezujitow, oddano franciszkanom to kolegijum.

Stoji ten kościół z gmachami swemi na górze nad samém adryjatyckiem morzem, armatami ufortyfikowany, i garnizonem papiéskim obsadzony, a to dla bespieczeństwa od Turków, od Dulcygnotów, od Montenegrinów, i innych Piratów morskich, którzy te tu brzegi papiéskie napadali. Kraj ten, i cały Markizat Ankonitański jest bardzo tani, obfituje w woski i wszelaką żywność; a w prostym stanie, celuje w uczciwości, w odzieniu, w manierze grube chłopstwo inszych państw włoskich, bo jeszcze grubsze nad krakowskich,

podlaskich i mazowieckich wieśniaków. Dnia 11º Marca z Ankony jechałem z Loretu piaskami, kilka mil nad samem morzem. Tak jadąc napatrzyłem się i nasłuchałem strasznych furyji tego okrutnego żywiołu. Lubo na lądzie niebyło żadnego wiatru, ale była miluteńka aura i jak najspokojniejsze uciszenie: tu niezmierne wały rozhukanych wichrami wód, tak wysoko wyrzucane były, że w oczach mojich zdawały się przenosić piérwszą powietrza kontygnacyją, a tu okręty, i statki (a widziałem ich wtenczas kilkanaście żeglujących) z wałami w górę wysadzone, między okropnemi chmurami, niby latały (tak jak teraz z wynalazku od lat kilku Francuzii Anglicy zuchwale machinami latają). Tu z wałami spadającemi w przepaścistą upadają głębiznę, tak, że mnie widziało się, że już zatopią się okręty! Jużci po nich! W tych bijących z sobą falach i wałach, jak gdyby się skały z sobą po-

tykały, takie huki, ryki, wrzaski, wyki, jęczenia, piski słyszeć się dały, że uszy moje na wylot przerażały: Cóż dopiéro dzieje się z żeglującemi! Słysząc to na uszy, i patrząc na to oczyma memi, stawiałem sobie w myśli furyje i kary piekelne. Fale też na płaszczyznę piaszczystą tak daleko wybiegały, że około mojego pojazdu odbite, po wiele razy mnie w nim siedzącego opryskiwały, i pojazd na kilka kroków przechodziły, i znowu się do łoża morza wracały, nie zostawując nic wody, tylko wilgoć na piasku. To żadnego niebespieczeństwa wędrującym nie czyni; bom nawet widział ludzi zbiérających morskie wyrzuty na tych piaskach, choć się o nogi ich fale obijały.

12. Marca popas mój w Ankonie, gdzie lustrowałem port bardzo sławny, który mieści się w liczbie czterech na świecie szczególności według przysłowia Una fides Romana. Unus pontifex in Roma,

una libertas Polona. Unus portus in Ancona.

Port aby był najbespieczniejszy, trzeba sobie rozumieć jak jaki ustęp od rzéki, żeby ze trzech strón był zamknięty, od nawałności morskich zasłoniony, tylko z jednéj otwarty strόny, którędy by okręty wchodziły; inaczéj w samym porcie okręty się rozbijają jeden o drugiego i zatapiają. Głębokości także wody potrzebuje proporcyonalnéj, żeby okręty wyładowane miały przystęp bliski do brzegu, do wykładania ciężarów i ładunków z okrętów. Ten port Ankoński z dwóch strón był bespieczny: od miasta, które stoji na górze, i naprzeciwko miasta od głębokiego morza, gdzie go zabudowanie różnych gmachów zasłania od burzy. Ale od trzeciéj strόny ściana była z latami zrujnowana; więc ją skarb papiéski miał w reperacyji, na którą rokrocznie wychodziło sto tysięcy szkudów. Ściana ta jak grobla jaka,

w tenczas kiedym tam był, już była wyniesiona nad morze dwiema łokciami, sposobem jakiego używają do budowania na morzu za pomocą ziémi, która się zowie *pucolana*, sprowadzana okrętami i statkami z krajów papiéskich, któréj moc jest taka, że w wodzie kamienieje. To widziawszy pociągnąłem na noc do Sinigalii miasta pięknego z fortecą.

Dnia 14<u>o</u> Marca zdążyłem na popas do Rimini. Miasto to jest bardzo wesołe, i wielkie; place, rynki i domy publiczne są wspaniałe; kościół frańciszkańki, lubo bez podniebienia, tylko pod dachem, ale ma w facyjacie kościelnéj wielkie, wysokie arkady z najprzedniejszych marmurów, najprzedniejszych autorów. Godne te są widzenia i podziwienia sztuki, które starożytność wiekom teraźniejszym do naśladowania podała. Jest także tu izdebka, niegdyś w polu stojąca, i tamże od Śgo Antoniego Padewskiego zamiészkała, którą industryja pobożno-

ści do tego kościoła sztukami i kawałami przeniosła.

Dnia 16º nocleg w Faenza. Prawie każde miasto w tym kraju zdumiéwa wojażera. Tu znowu bram wiele z wieżami, tu domy z podciéniami, tu liczne kościoły i osobliwsze fontanny.

Tu porcelana czyli fajans od wielu wieków wynaleziona. Ta na któréj jadłem w austeryji, mało ustępuje Saskiéj. Tu ów matematyk (o którym wyżéj) przepowiadacz dnia śmierci papieża Klemensa XIIIº, był dla mnie ciekawym w celu mówienia z nim; ale weturyn krzyczał do wsiadania i tak się zatrzymywać niemogłem.

Na noc 17º Marca wypocząłem w Bononiji, do któréj zmierzyłem jako na przeszły do Rzymu mój trakt.

Z Bononiji do Ferary pojechałem, o których to miastach powiedzieć muszę, że po Rzymie piérwsze zaraz miejsca biorą w stanie papiéskim. Od Bononiji

aż do Ferary, samemi się jechało tłustemi i urodzajnemi równinami, i wszędzie obsianemi, między któremi tu i owdzie znajdowały się chałupki, na kształt polskich. Droga na tenczas w tym miesiącu tak była zła i przepaścista, jaka u nas ledwie gdzie znaleść się może, a to dla niedostatku znać kamieni, których, w téj okolicy nie widać.

20º Marca, o 5 mil od Ferary weturyn z samą tylko próżną kolaską pojechał do wsi Mirrha, leżącéj nad samemi lagunami, a ja z kompanem mojim najęliśmy statek wielki, dwa razy większy, niż te, które z Brandeburgiji przychodzą do Poznania, i na ten statek z rzeczami naszemi wsiedliśmy na rzékę „*Po*“ zwanéj i głębokiéj jak Wisła pod Warszawą. Na téj rzéce zastała nas noc bardzo ciémna.

Przybił statek do brzegu, aleśmy z niego, dla bespieczeństwa kufrów, do austeryji nie wysiadali, tylko nam przy-

nieśli chleba, séra przedniego, oraz figów suszonych. Tym się posiliwszy troche, skoro świt kończyliśmy żeglugę, i przybiliśmy w godzin kilka do brzegu kanału, i stanęliśmy. Pytam się mego mego przewoźnika: *Na cóż tu stanęliśmy? Czemuż nie płyniemy daléj?* On mi odpowiada: *Signore! rzéka ta wpada tu bliziuteńko w morze, a my popłyniemy tym kanałem.* Na tę jego odpowiedź rozumiałem, że drwi ze mnie Włoch; bo też kanał jest ocembrowany kamieniem ciosowym, a pawiment jest gładki i suchy tak, że kropli wody na nim nieznać; nigdzie też ścianami kanału woda nie sączy. Więc mówię do niego: *Mój miły, jakże my to łodzią pływać możemy po suchych kamieniach?* Odpowiada mi: *Obaczysz Signore.* W tém przychodzą dwaj chłopi, otwiérają slózy od rzeki, z któréj wielkim potokiem wpada woda w kanał ten suchy, i nalewa go; przewoźnik wpuszcza tuż zaraz statek swój

wielki w kanał, który w momencie, jak przychodzi do miary wysokości wody, chłopi zamykają za nami slózę, a my płyniemy kanałem, i w godzinę mniéj, albo więcéj, przypłynęliśmy do wsi, (o któréj wyżéj) Mirrha zwanéj, w któréj nas weturyn z kolaską czekał. Tam stanąwszy, obejrzę się na kanał, aż widzę, że z tego tu końca chłopi znowu otwierają slózę, którą woda pręciuteńko z kanału wypadła, tak, że tylko wilgoć na pawimencie osuszonym została, na którym nasz statek stanął.

Wyznaję, że mię to cudo wynalazku i sztuki ludzkiéj ździwiło. Ale któregożby cudzoziémca nie ździwiło? A takich i innych przyrodzonych cudów pełna jest Rzeczpospolita Wenecką! W austeryji ogrzaliśmy się, bo nas wapory rzéczne, i drzymanie na twardych ławach trochę oziębiło. Weturyna z kuframi wysłaliśmy naprzód, a my statkiem popłynęliśmy prosto do Wenecyji, i sta-

nęliśmy w tejże austeryji, w któréj jadąc do Rzymu stałem. Austerniczka, rodem niemka, gadatliwa kobiéta, chciała mię bawić rozmowami o szlachcie weneckiéj, jak są rozwioźli, swywolni, jak córek swojich postradała z ich przyczyny; rozumowała i o rządach téj Rzeczypospolitéj, ale jéj na wszystko milczeniem odpowiadałem, znając politykę téj Rzeczypospolitéj, że tam płacą wielomówność aresztem, czy dobrze, czyli źle mówi o niéj cudzoziémiec.

Czego przedtym przejeżdżając tędy nie widziałem w tym mieście, chciałem teraz widzieć, ale na to trzebaby roku, nie dnia jednego, albo dwóch. Więc przynajmniéj zlustrowałem sławną wieżę stojącą na placu przy kościele Ś^go^ Marka, a na tę wieżą niemasz żadnego gradusa, ale się idzie jak po podłodze gładkiéj i równéj, gankiem jak korytarzem. Tu i owdzie dla światła są okienka; idzie się tedy tym gankiem i wchodzi bez

najmniejszego czucia pod kopułę na sam wiérzch z podziwieniem jak się to mogło stać? jak się mogło wniść tak wysoko, bez gradusu, i bez mego nawet téj rzeczy postrzeżenia? To, śmiem mówić jest cud. Ta sztuka architektoniczna według wysilonych prawideł matematyki urządzona przechodzi pojęcie moje, témbardziéj wytłómaczenie jéj. Z wiérzchu téj wieży miło mi było widzieć to cudowne i wielkie miasto na 27^miu^ morskich wysepkach, na palach wystawione.

Zszedłszy, kościoł obéjrzałem patryjarchalny Ś^o^ Marka, w którym jest pawiment mozajkowy z drogich kamieni wysadzany. Poszedłem potém do pałacu téj Rzeczypospolitéj, w którym doża, albo książe Wenecki miészka, i byłem przed samym jego pokojem, portjerą sukiénną ordynaryjną zasunionym. W całym tym pałacu wspaniałym, obszedłszy wszystkie ganki jego długie

jak po jakiéj pustyni chodziłem, i niewidziałem w nim tylko jednego lokaja doży tego, a w dolnych galeryjach w katedrach takich, jakie w kościele Gniéźnieńskim są konfesyonały, siedziało kilku Wenetow poważnych w kołpakach i w togach długich z rękawami szérokiemi, a to są ci, którzy memoryjaly piszą do Senatu, kto ich w potrzebie swojéj zażyje.

To widziawszy udałem się do arsenału pysznego na świat cały. W rozległości jest jak miasto, podzielone placami jak rynkami, na których leżą kule, bomby armatne, ułożone w piramidy, jak u nas kópy siana. Armat wielka moc, i moździérzów stósami stoji; widziałem tu armatę piérwszą zrobioną po wynalezieniu, z piekła prawie, prochu: jest gruba i długa żelazna. W szopach wyciągnione z morza stoją 12. okrętów wielkich, między któremi jest jeden największy, bo o 5ciu kontygnacyjach, czyli ba-

teryjach te okręty w potrzebie wojny, z pod szopów tych machinami łatwo wyciągają i na morze spuszczają. W 13téj szopie stoji ów okręt złoty, gondoła, lub statek, który widziałem był przedtym (jako wyżéj) wyprowadzony na kanał széroki, do wsiadania na ceremoniją zaślubin morskich, centaur nazwany. Obchodziłem potém sale górne bardzo obszérne, przyozdobione jak najpiękniejsze kościoły, napełnione rynsztukami wojennemi, w nich mundury nowe żołnierskie i kapelusze, śmigownice, rusznice, kordełasy, piki, w tak kształtne są ułożone figury, że się w oczach wystawiają, jak najpiękniejsze ółtarze, piramidy, kolosy, arkusy, i t. p. Tych mundurów i rynsztuków żołniérskich gotowych rachują na siédmdziesiąt tysięcy wojska. Między figurami widziałem tam w jednéj sali osoby, baszę, czyli, wezyra, po snycersku wyrobionego i hana tatarskiego w łańcu-

chy okutych, w sukniach ich narodowi służących, jak żywych. Han tatarski, szczególniéj mię dziwił. Męszczyzna śliczny, zarastający czarno, po polsku wygolony, żupan, jupka krótka, gronostajami okładana, pas karmazynowy, bót safijanowy, ze wszystkiem, jak piękny polak. Byli to wodzowie najwyżsi wojsk Tureckich, od Wenetów zwyciężeni i w niewolą zabrani.

Po sufitach wszystkich salów są malowidła najprzedniejszych autorów, wyrażające wojny na lądzie i morzu; ataki fortec, miast, wysp, i ich bronienia, wodzów i admirałów Rzeczypospolitéj Weneckiéj; zwyciężców Porty Ottomańskiej. Z tego arsenału, z téj zbrojowni Weneckiéj, niechiało mi się wyjść, ale jako gość, jako cudzoziemiec, niemogłem w Wenceyji obywatelować.

To jeszcze tam uważałem, że żadnego garnizonu, żadnéj kommendy,

żadnéj warty, żadnego żołnierza w Wenecyji za mnie nie było, tylko przy wielkim porcie nad morzem głębokiem, gdzie okręty wielkie stawają, garnizon stał. A przed arsenałem w bramie siedziało trzech tylko, oficyjalistow Wenetów, przed któremi się meldowałem.

Wenecyja sama z siebie obrónna, nie potrzebuje garnizonu, bo okręty ciężkie nie mogą do ataku przystąpić, gdyż w okolicy miasta morże jest płytkie. Głodem nie można go téż wymorzyć, bo magazyny opatrzone są wszelkiemi żywnościami na lat kilka, a w niedostatku chleba, może mieć Rzeczpospolita dowóz z inzuł swojich morskich.

Pożegnałem Wenecyją, i z niéj tąż drogą, którą tak rok do niéj wjechałem, przyjechałem do Mestry, a ztąd pojechałem do wsi Mirrha lądem. Ale tu trafiamy na szkodę. Chcąc sobie trochę drogi skrócić weturyn, nie jechał

przez most murowany na rzéce bystréj, ale przez samą wodę. Rzéczka była zabrzeżysta, z któréj niemógł wyjechać, tak, że cały tył pojazdu, na którym stały kufry, zniżyły się i w wodzie zatopiony został; konie już stargane, ani ruszyć mogły pod zabrzeżystość, tak, że nim znalazł we wsi weturyn woły do wyciągnienia powozu, kufry ze trzy godziny były zatopione w rzéce. Otwieramy kufry, aż oto w nich wszystko wodą pluszczy. Trzeba nam było w austeryji aż do 23º Marca bawić i rzeczy nasze suszyć. Ruszyliśmy potém z Mestry, i przybyliśmy do miasta Treviso, gdzie forteca i kościół katedralny, ale brzydki, bo bez sufitu.

Dnia 25º nocowaliśmy w Rancheto. Aż dotąd wyjechawszy z Mestry, kraj ten nazywają ogrodem Rzeczypospolitéj weneckiéj, i sprawiedliwie; bo się jedzie prawie samemi ogrodami, prawie samemi pałacami. Do tych to pałaców

wyjéżdżają senatorowie i szlachta Wenecyjanie, (oprócz doży, któremu nie wolno z miasta wyruszyć się, chyba za dekretem i pozwoleniem senatu.)

Dnia 28º stanąłem w Ponteba, na granicy weneckich i austryjackich państw. Weneci strzegą się Austryji, od któréj we wsiach nawet swojich na bramach od strony austryackiéj mają wyrychtowane armaty, jakom to ciekawie uważał.

Aż dotąd, to jest do Ponteby weneckiéj, i przedtém od niéj jadąc do samego Rzymu, nie miałem zatrudnienia żadnego, tylko trzeba było pokazać na komorze świadectwo na cedule, jako z kraju zdrowego jadę. Nigdzie w całych aż do Rzymu Włoszech nie przetrząsano mego pojazdu; dopiéro przebywszy most do Penteby austryjackiéj, doznałem w tem przykrości. Co tylko stanąłem w austeryji, oficyjalista, celnik austryjacki, kufry każe otwiérać, i

roztrząsa rzeczy, i kazawszy od nich zapłacić sobie „transito“ oprócz tego, jeszcze kazał sobie dać dukatow 6. *A to za co?* pytam się; *pro vadimonio*, odpowiada ten ździérca, *żebyście na bok z państwa Austryjackiego nie wyboczyli z oszukaniem skarbu cesarskiego. — A cóż to za racyja! a gdzie my odbierzemy te pieniądze? — Odbierzecie je na ostatniéj doganie iej prowincyji* (Karyntyji) *Zapłaćcie bez dysputy, macie na o bilet, który, oto wam daję:* Trzeba było posłusznym być niesprawiedliwości i zostawić 6. na przepadek, bo z ostatniéj dogany prowincyji karyntyji odesłano nas do Wiednia, gdzie ganiono tylko niesprawiedliwość celnika Pontebskiego, ale nam nie powrócono.

Dnia 5go Kwietnia przybyłem na południe do Wiednia, ale mię wprzód zaprowadzono na komorę, gdzie nie mało miałem biédy, zachodów, frasunku i kłopotu z celnikami, lubo nic wcale kontra-

bandy przy sobie w powozie nie miałem.

Stawiłem tu sobie w oczach Włochów, komparowałem ich z Austryjakami; ci zdawali mi się względem tam tych, jak pycha względem pokory, jak barbarzyństwo względem grzeczności, jak złość względem dobroci: podobno tym nie ustępują sami Turcy w sprawiedliwości, ani nawet dzicy Amerykanie w grubijaństwie.

Tymczasem, żebym w sobie rozrywał tę nudność, którą mi sprawiło to Wiedeńskie zatrzymanie, obszedłem w koło po wałach całe miasto. Tu z téj wysokości wałów przypatrywałem się placom i okolicom, na których nasz król, Jan IIIci zbił wojsko otomańskie i stał się zbawcą tego niewdzięcznego narodu. Zważyłem, że to miasto nie wielkie, daleko się wydaje piękniejsze niżeli jest w istocie: w ulicach ciasnych i w facyjatach nieprzyjemnych kamienic

i domów swojich. Co zaś w przedmieściach, to jest rozległe, i prawie na milę niemiecką aż do Szembrunn, rezydencyji letniéj cesarstwa, zabudowane kosztem cesarzowéj królowéj, któréj skarb z rozmaitych tego miasta dochodów tak się pomnożył, że sam Wiedeń tyle dochodu do skarbu cesarskiego ma wprowadzać, ile całe królestwo Węgierskie, oprócz jednak winnic cesarskich w Węgrzech, które wiele czynią.

Wyjechałem z Wiednia 10go Kwietnia, stanałem w Opawie 15go. Ztamtąd kolega mój ks. Dembiński udał się ku Krakowu, w przód zemną doznawszy sekatur na komorze Opawskiéj (jakem wyżéj namienił), a ja najętym furmanem do Wrocławia się udałem. Orzeźwiałem cały wyjechawszy z krajów austryjackich; bo jak tylko raz jeden na piérwszéj komorze Szląska Brandeburskiego zaplombowano kufer mój, tak bez najmniejszéj rewizyji zajechałem

na granicę polską. I ten sekret opatrzności Boskiéj uważałem w téj mojéj podróży, że w rok zupełny, tego samego dnia i miesięca, w granice polskie wjechałem, którego wyjechałem z nich do Rzymu przeszłego roku. Stanąłem w Lubieniu mile przywitany od mego łaskawcy Michała Lipskiego, opata Lubieńskiego. Tam się porachowałem z workiem mojim, i wyrachowałem ekspensy w téj Rzymskiej drodze mojéj 400. duk. Zdawać się będzie komu, że wiele ekspensowałem, ale powiadam, że nie wiele. Wiek mój, w którym już byłem na tenczas, bo miałem lat 55., charakter kanonika Gnieźnieńskiego i exprzezydenta trybunału koronnego, potrzebował inszej figury nad innych Polaków, a szczególniéj w Rzymie.

Niech ten przywiększy mój wydatek innych nie odraża od wojażowania do Rzymu, do tego miasta świętego, byle to czynił, nie dla saméj ciekawości, ale

dla cnoty, dla nauki; a przez całe zupełne trzy lata, nie utraci przy ochronie tyle, ile ja przez rok jeden wyszafowałem.

W czym tak objaśniam: Naprzód, dla zachowania zdrowia, nie trzeba z Polski do Włoch wyjéżdżać na lato i na gorąca tamtejsze, ale pod jesień około 15go Siérpnia, żeby stanąć w Rzymie na prześliczną tamtejszą aurę jesiénną, i obrać sobie stancyją w otwartem miejscu; bo tam są takie ulice, w których jednych trzeba się pocić, a w drugich tego samego momentu, kiedy zawieje tramontana, to jest: wiatr zachodni, trzeba się tam strzédz pić rynfreszek lodowych i wody zapociwszy się; bo za tym przychodzą pewne suchoty. Aby podróż mało kosztowała, trzeba się puścić furmanem włoskim, czyli: weturynem, którzy już teraz do Warszawy po podróżnych jeżdżą. Z weturynem takim się puścić, a upewnić

megę, że taka jazda wcale będzie tania.

W drodze wystrzégać się próżnych o kraju cenzur, a osobliwie we Wenecyji, gdzie taka mowa trąci więzieniem. Nad wielkiemi rzeczami i jeszcze niewidzianemi zdumiéwać się nie trzeba, żeby tego niewiadomości nie przypisywano. Absolutności, krajowcom naszym przyrodzonéj, i owego rezonu i opryskliwości, całe się wyrzéc potrzeba, żeby nie przypłacić workiem, albo czém gorszem. Skromności, jeżeli w domu, to jeszcze więcéj za granicą Polakowi potrzeba. Próżnemi widowiskami oczu nie paść; bo to zgubę często przynosi, jak się to stało krótko przed mojém przybyciem do Rzymu, gdy królową Neapolitańską ciekawi Rzymianie chcieli lepiéj widzieć z wody, powsiadali więc na statek, albo wielką łódź, która nadto przeładowana była, i zatopiła 23. osób. I cóż im więc z tego przyszło?

Od takiego ścisku ja zawsze unikałem. Nawet raz tylko widząc cesarza (Józefa!) we Wiedniu, jadącego na szkapie, za którym tylko jeden jechał masztalérz, jużem go drugi raz widzieć nie cisnął się. Nawet powracając z Rzymu, lubom się potykał z dworem jego, niechciałem oglądać tego monarchy, jakby mi sekretny duch przepowiadał, że on miał być nieprzyjacielem drogich zwłoków i relikwiji świętych Pańskich; niszczycielem tak wielu zakonów; łupieżcą dóbr kościelnych i bogactw chwale Boskiéj poświęconych.

Strzegła się dusza moja widzieć tego przyszłego łudziciela konfederacyji Polskich, i tego jeometrę i miernika, jakby podzielić między sobą i potencyjami sąsiedzkiemi krajiny najlepsze i najbogatsze, najniewinniejszéj Rzeczypospolitéj naszéj.

A cóż forastyjerowi przychodzi z téj ciekawości? a to albo stuk! puk! po bo-

kach, albo próżna strata czasu; albo pozbycie mieszka; nakoniec żal i narzekanie. O! cóż mi to było po tém! Tego trzpiotostwa niech się chroni mój ziomek.

Podała się teraz od lat sześciu, albo siedmiu nowa dobra okazyja dla polskiéj młodzi w Rzymie. Jest tam kolegijum germanicum z funduszem bardzo dobrym na młódź niemiecką. Tego funduszu, gdy Niemcy teraz nie używają przez wzgardę cesarza, który przez niechęć tego funduszu używać zakazał, papież Pijus VI. dał pozwolenie królom polskiemu i pruskiemu, aby nacyonalistów swojich podawali do kolegijum tego na nauki: jakóż już ich podawają i już tego przywileju synowiec rodzony kanonika Gnieźnieńskiego de Mathy używa. Tak wypolerowawszy swój rozum w tém kolegijum można zostać Rektorem domu Polskiego nacyonalnego (o którym wspominałem).

Dosyć długo był nim Młodziejowski, a za mojéj bytności Górzeński*), o których mówiłem wyżéj.

Przy pomnożonych teraz znacznie prowentach tego domu, ma rektor z nich przystojną i dostateczną swoję sustentacyją.

Te daję rady do obchodzenia się w Rzymie i w podróży do niego o małym majątku swojim, nie biorąc miary z wydatku mego i innych Forastyjerów.

Z opactwa Lubieńskiego pośpieszyłem nawiédzić Chocz, zkąd w Gnieźnie stanąłem dobrze powitany od kapituły, ale razem z nią bolejący nad rozruchami w miłéj ojczyźnie wszczętemi.

*) Który roku 1825. Arcybiskupem Poznańskim umarł.

ROŹDZIAŁ XI.

Konfederacyja Barska.

Ośm lat tego nieszczęśliwego związku, czyli konfederacyji liczyć będzie historyja do epok najgorszych, i już nigdy niepowetowanych nieszczęśliwości Rzeczypospolitéj naszéj, i ostatniego jéj upadku. Ludu wojennego, rodowitych Polaków, zginęło, jak wyrachował król, mający o wszystkiém wierne raporta, sześćdziesiąt tysięcy. Mowa jego smutna na sejmie miana i drukowana, o téj prawdzie nas upewnia. Bezbronnych ludzi i niewinnych, tu i owdzie porzniętych, rachowano téż na kilkadziesiąt tysięcy: dziadów, żydów, z fałszywego o szpiegostwo podejrzenia, pełno po drogach wisiało: a zaprzedanych za sio za to konfederatów Prusakom

przez Moskwę, na kilkanaście tysięcy liczyć się mogło; familije najznaczniejsze i wielkich fortun, do ubóstwa poprzychodzily; młódź szlachecka, ostatnie kawałki majątków ojczystych potraciła: lada gałgan, lada rzeźnik, świec, rzemieślnik, lokaj, chłystek, zrobiony towarzyszem, oficerem, rotmistrzem, pułkownikiem konfederackim, najgodniejszych ludzi chciał mieć pod nogami swemi i ździérał, rabował, nakłady na wsie walił, nie tak jak absolutny monarcha, ale jak despota, jak tyran: i jeszcze do tego czasu, cechę nieludzkości swojéj na sobie nosi tak, iż z miny nie jednego z nich opoja, bezecnego pijaka znać oczywiście, że był konfederatem, i grozi, że jeszcze nim będzie. Trafiło się, że jeden, u którego mięso na kuchnią moję kupowano, wyniesiony na wysoką komendę, aż zbytkiem wpadł wręce Moskiewskie. Szczęściem uszedł od nich. Przywró-

cony do kommendy konfederackiéj, któżby nie ufał, że się stanie dobrym? Oj, nie! Jeszcze hardziejszy biés go opanował. Potykam się raz z nim, aż go widzę ubranego po węgiersku, jak najbogatszego jenerała. Zdejmuję przed nim kapelusz i mówię do niego: „kłaniam Mći Panie!“ On na tę moję grzeczność nie tylko ręki swojéj nie podniósł do zdjęcia czapki swojéj, ale tylko głową kiwnął i przeszedł. Na taką wzgardę kapłana i kanonika z żalem wyrzekłem: *Pamiętajże duraku, że znowu wpadniesz w ręce nieprzyjacielskie!* Stało się to w krótce. Bodaj wyszło dwie niedzieli w Piotrkowie, porwany był w pęta niewolnicze Moskiewskie, i w nich zwyczajem nieprzyjacielskim, ucierpiać wiele musiał. Teraz ten, który panował nad naszemi dobrami, własnego swego kącika niema, włóczy się na szkapie, szukając ratunku i pożywienia dla siebie, żony i dzieci swojich.

Dwóch jeszcze wspomnę, jednego imienia zacnego i substancyji dostatecznéj rotmistrza, a raczéj pułkownika i drugiego, zdaje mie się majora, bliskich sobie braci konfederatów. Piérwszy z 500. ludźmi przez dni pięć w Maleninie i Odrowążu, pod Witkowem, zrobił mi na folwarku na tysiąc złotych ekspensy, a u chłopów na tyle drugie; drugi na daninę jakąś z piekła wymyśloną, to jest: kopytkowego od bydła, owiec, zdarł ze mnie przeszło 30. Za te swoje sprawy, odbierają teraz obadwa nadgrody: bo tamten, wszystek majątek swój dziedziczny utracił, ledwie się przy posagu swojéj żony utrzymuje, a ten szukał dla siebie u mnie ratunku w Warszawie, gdziem się znajdował w potrzebie mojéj u prymasa Podoskiego, kiedy on przez Warszawę z innymi niewolnikami w kraj Moskiewski był prowadzony. Teraz zaś z substancyji swojéj wyzuty, ów wale-

czny komendant, ledwie się żywi z żołdu towarzysza narodowego, za którego służy. A ci, i tacy wszyscy, jeszcze tchną duchem konfederacyji, i onéj, jakby nie omylnéj, życzą sobie. Jaki koniec stał się tych ojczystych burzliwości? tego prywatne pióro nie opisze, a publiczne i historyczne, chyba tylko żałobne epithapium, albo nagrobek pogrzebanéj Rzeczypospolitéj naszéj wystawi.

Znajdowałem się na tenczas w Szląsku, w Sycowie, z mojim łaskawcą Lipskim, panem Blaszków, na kuracyji nogi jego u lékarza. Ten lékarz przychodzi do nas pijany i powiada nam pod sekretem, że króla w Warszawie zrąbano. *Jak to wiész? Wiém*, „mówi“ *bo tu przyjechał jakiś wojewoda, i daje mi na rękę pięćset czerwieńców, żebym z nim do Warszawy pojechał na kuracyją króla, alem mu się wymówił.* Tę wiadomość przyjęliśmy od niego ze wzgardą,

bo to był człowiek bardzo podły, z pastuchy zrobił się lékarzem, szalbierz, pijanica, ale bardzo szczęśliwy do léczenia i zgadywający najsekretniejsze i niewiadome choroby, nawet śmierć pacyjentów, lubo pisać, czytać, nie umiał, a nawet litery nieznał. Zapisował on prawda, nieznajomemi jakiemiś charakterami opowiadania ciérpiącego, defekta, albo je też sam z uryny przez szkiełko poznawał, i poznane, nibyto dla pamięci swojéj, w księgę wgryzmolał: ale to było samą tylko obłudą; bo na doświadczenie jego sam notowałem punktami, których on nie dostrzegał, te przez niego wpisowane casus, tak osób, jako też chorób: jednak on nigdy nie mógł do nich trafić. Języka żadnego nie umiał ten człowiek, tylko po ślązacku. Ten prostak grubo zełgał, jakoby jakiś wojewoda sześcią końmi po niego przyjechał; boby to się było widziało. Więc ten sekret jego lekceśmy sobie ważyli. Aż oto! lubo z niejaką odmiennością, ale co do saméj istoty uczynku, stała się ta świętokradzka bezbożność. On nam powiadał że zrąbano króla, że się to już stało, a to dopiéro się stało we trzy niedziele po jego nam opowiadaniu. On nam o tém gwarzył, kiedy król był zdrów, ale gwarzył to, co się późniéj stało i przyszłe bajał. Jak się mogło takie wyobrażenie i fantazya w łeb tego łajdaka wrazić? tego ja nierozumiem. Co do mnie, z kochanym Lipskim cyt! wieczne nakazaliśmy sobie, nikomuśmy o tém ani przedtém, ani potém nie powiadali, a to z przyczyn roztropnych, to jest, żebyśmy sobie subjekcyji, i lékarzowi biédy jakiéj nie sprawili.

ROŹDZIAŁ XII.

— O —

Skasowanie zakonu Jezuitów.

W tym także czasie, po skasowanym zakonie Jezuitów przez Klemensa XIV. papiéża, zakon ten istotnie rozsypany został. Zakonne osoby, których się rachowało w Koronie i Litwie dwa tysiące sto kilkadziesiąt, z kolegijów nielitościwie wypędzone tułały się jak wygnańcy. Naznaczono im wprawdzie pensyje z publicznego skarbu, ale te dopiéro im wypłacono w rok, czyli dwa, z prowentów dóbr pojezuickich i dotąd je wypłacają po złt. 500., ale tylko tym, którzy beneficyjów nie mają. Poprawił się potém znacznie los ich, bo biskupi piérwsze z ich zgromadzenia subjekta do dworów swojich pociągnęli, prelaturami, kanonijami w swojich

katedrach i kolegijatach, i beneficyjami opatrzyli; profesoryje onymże po szkołach publicznych nadane zostały, w wielu z nich wygodną i uczciwą sprawują subsystencyją. Król sam, szacownik ludzi uczonych, księdza Naruszewicza obdarzył koadjutoryją biskupstwa Smoleńskiego, a Wyrwicza opactwem Hebdowskiém, innych zaś wielu Exjezuitow, prelaturami, kanonijami, probostwami bogatemi, poopatrywał, i tym, którzy dworowi i królowi służą, dostatnie z królewskiego skarbu szafuje nadgrody.

Pozostały się przecież w Polsce jeszcze resztki zakonu tego w całym świecie skasowanego, ale już w kraju od niéj oderwanym do Moskwy, gdzie Jezuici nowicyjat mają otwarty, i do niego przyjmują.

Szkoły liczne mają, które nie tylko polska i ruska, ale też i moskiewska młódź napełnia. Reszta ta tak obszér-

nego przedtém na całym świecie zgromadzenia, daj Boże, żeby była nasieniem do odrodzenia się w kościele Bożym, w winnicy Chrystusowéj tych robotnikow! Ale dotąd, w tych częściach oderwanych od Rzeczypospolitéj, jak się ona utrzymować? Jure ne, an injuria? Czyli się to dzieje z pozwoleniem, czy tylko z tolerancyją stolicy apostolskiéj? Czyli protekcyja imperatorowéj Rosyjskiéj zakonu tego działa się przez wzgardę Rzymu? czyli przez miłość pomnożenia nauk? Niech to zostaje w tajemnych wyrokach Boskich, pokąd się prowidencyji nie spodoba wyjawić to w przyszłości.

Fundusze, dobra, kościoły, klejnoty, i to wszystko, co było Jezuitów, oddała Rzeczpospolita Polska komisyji edukacyjnéj, sejmem postanowionéj. Dobra zaprzedano ziemianom i obywatelom, z których intraty rocznéj przychodzi summa złt. pol. 382,838 a sum

funduszowych wyrachowano na dobrach ziemiańskich leżących, sumę ogólną złt. pol. 4,691,968. Przychodzi zatém z dóbr funduszowych, i od sum pojezuickich rocznéj intraty złt. pol. 626,738., a to według tabeli publikowanéj anno 1781. i to tylko w koronie.

Co się tycze dóbr i sum pojezuickich w wielkiém księstwiie Ltewskiém, intrat z nich rocznych, niemam dostatecznéj wiadomości.

Kapitały te pojezuickie do dawnych kapitałów przyrosłe, powstały z przedanych śreber, klejnotów, sukienek, z obrazów óltarzowych poździeranych, i z tych wszystkich splendorów, któremi ubogacone były i jaśniały kościoły jezuickie i celowały wszystkie inne bazyliki. A tych wszystkich bogactw kościelnych, według hasła patryarchy Jezuitów Ignacego świętego Ad M(ajorem) D(ei) G(loriam) przysposobionych, cena ledwie i ledwie w

czwartéj części dostała się pod zarząd komisyji edukacyjnéj; bo je łakomstwo rozszarpało, i obróciło na kredensa, na zastawienia stołów, że nie rzekę na urynały. Klejnoty, dyjamenty, perły, drogie kamienie z monstrancyji, z krzyżów pożdziérane poprzenosiły się na łby, na szyje i na ręce kobiét. Ah! ah! z żalem pisać o tém.

A jeżeli w saméj koronie tyle bogatych rzeczy pojezuickich na nic potracono, cóż rzeknę o Litwie? Przyłóżmy zaś do nich fundusze w prowincyjach oderwanych, do Austryji, do Moskwy, do króla pruskiego; przyłóżmy jeszcze do nich owe kosztowne bazyliki miedzią pokryte, marmurami wysłane, a które teraz już się psują, już, już zepsuciem swojém gotują łożyszcze, na gnieżdżenie się wróblom i sowom.

Komisyja edukacyjna z godnych i uczonych mężów jest złożona, któréj styr trzyma prymas, bez żadnéj z skar-

bu Rzeczypospolitéj dla siebie nadgrody, tylko dla chwały z usługi publicznéj. Ta komisyja formę nauk nauczycielom nową przez wydawane elementarne książki przepisała, i przepisuje; dawne nauk prawidła, porządek klas w nowy sposób odmieniła i odmienia.

Sławna zawsze przedtém akademija Krakowska na inszy tryb jest przekształcona. Już w téj akademiji krakowskiéj rektoryją posiada świecki i żonę mający obywatel, Oraczewski. Już w niéj, i po inszych wojewodzkich szkołach katedry mają, i lekcyje dają żonaci. Ale czyli taka odmiana, przeinaczenie nauki nauczycieli, jest lepszém dla wiary świętéj, dla kościoła, dla ojczyzny, dla obyczajów? jeszcze się nie dało poznać, dopiéro nas nauczy dalsze z czasem doświadczenie. W tym tak ważnym artykule są przeciwne zdania: jedni wielką zaletę dają téj refor-

mie nauk; wystawują prawie arkusy i kolosy komisyji edukacyjnéj; uwielbiają mądrość i roztropność jéj, i publikują pamiętnikami i drukiem, że w całym świecie niemasz lepszéj teraz dla młodzi edukacyji, jak w naszéj Rzeczypospolitéj.

Ale inni mówią i ja mówię, że to nowomodne mistrzostwo Aten do Polski nie wprowadzi; że małżeńskie profesorstwo z tułaczów zagranicznych zbiérane, wiarę świętą katolicką osłabi, deizm wprowadzi, i młódź w obyczajach skazi; że parafijalne kościoły bez pasterzy, klasztory bez zakonników zostaną, albo samych nieuków mieć będą; że stala katedralne posiadać będą sami fryzyjerowie i perukarze, toga przemieni się w kartkę arlekińską; że księgi, archiwa, tranzakcyje odwieczne zostaną bez tłómaczeń, i najświętsze tajemnice staną się pogrzebane przez zagubienie języka łacińskiego,

który, jak czérwony złoty, ma kurencyją po całym świecie; że stany rycerski i miejski, wpadną w ostatnie barbarzyństwo bez nauk, na które, do teraźniejszych, à la mode, szkół brzydzą się dawać dzieci swoje, aby się w religiji nie osłabiły, i w obyczajach nie skaziły, z któréj bojaźni, nieoddawania dzieci do nich, tak zdrobniały klasy, że co przedtém jedna classis to jest: jedna gramatyka, jedna sintaxis, jedna retoryka, liczyła studentów stami, to ich teraz wszystkie classes w szkole głównéj krakowskiéj, wszystkie classes w szkołach wojewódzkich Poznańskiéj, Kaliskiej i t. d. tyle osób nie liczą; a wiejski kmiotek, chłopek, choćby się mógł przepomódz, z kilku synów, nie śmie oddać żadnego do dzisiejszéj szkoły, tak dalece, że trudno będzie o ministranta do usłużenia do mszy świętéj; o nauczyciela do szkółki parafialnéj; o organistę do pozytywu i odpowiadania

kapłanowi celebrującemu; a może wnet i o czytelnika, żeby znał litery A. B. C. D. Tak mówią, tak gadają, i téj prawdy są już znaczne początki. O! dałby to Bóg! żeby przyszłe czasy za tę edukacyjną kommissyą brzmiały podziękowaniem Bogu, przez radośne Te Deum Laudamus, a nie nuciły umarłym naukom, smutne Requiem!

ROŹDZIAŁ XIII.

Dalsze autora przygody.

Wracam się do ciągu życia mego. W drugim roku po powrocie z Rzymu mojim, to jest 1770º roku, zawakowała po śmierci Wołowicza biskupa Łuckiego prebenda Strzałkowska wpowiecie i parafiji Radomskiéj leżąca, simplex beneficium sine cura animarum, i z dobrym funduszem, bo ma wieś dobrą Strzał-

ków i drugą, i jeszcze trzeciéj kawał. Piérwszy to był chléb duchowny, o którym się starał; prosiłem więc o prezentę Męcińskiego kasztelana Santeckiego, ale mi jéj niechciał dać przez żal, żem się w granicznéj sprawie między dobrami kapitulnemi i jego zachodzącéj, przy sprawiedliwości utrzymował; a ztąd obawiał się, ale bez fundamentu, kłótni w przyszłym czasie ze mną. W tém znajduję rywala do téj prebendy, Feliksa Turskiego na tenczas Chełmskiego, a dziś Łuckiego biskupa, który się i otrzymał, ale jakem się nigdy w życiu mojém na nic niepiął, tak dla spokojności duszy mojéj odstąpiłem téj mojéj pretensyji i w krótce nawet całe o niéj zapomniałem.

ROZDZIAŁ XIV.

O Prymasie Podoskim.

Pod tę moję bytność w Warszawie, kiedym się o tę prebendę starał, prymas Podoski chciał mię postanowić koniecznie i koniecznie, in Spiritualibus Administratorem jeneralnym Arcybiskupstwa Gnieźnieńskiego. Był to fatalny postrzał na duszę, wysokości niepretendującą. Żebym się od niego zastawił, dałem do wyrozumienia prymasowi, aby mię już więcéj nie napastował o przyjęcie tego przykrego dla mnie urzędu.

Dociekłem ja sekretu postanowienia téj administracyji, którą przyjął ks. Kozierowski, biskup Adrateński, kanonik Gnieźnieński mój przyjaciel i łaskawca. Podoski był to prałat uczony i polityk, biegły, wart być, jako i był, guwernerem królewiczów polskich,

książąt Saskich. Miał on sobie zdaną administracyją starostwa Spiskiego, służącego królowéj na reformacyją, z pensyją dla siebie znaczną, trzymał oraz probostwo Krakowskie i Miechowskie i Refendaryją koronną. Po nieodżałowanéj śmierci pana mego, księcia Łubieńskiego, został Podoski prymasem i arcybiskupem Gnieźnieńskim, a to za promocyją Moskiewską do króla Stanisława, z którym, albo raczéj przeciwko któremu wszedł w takie spiski i intrygi nierozmyślne, że się odważył na detronizacyją jego knować sekretne z panami polskimi machinacyje, (znać z przywiązania ku domowi Saskiemu). Już on nawet na ten koniec, zaczynał swoje z dworem Petersburskim korespondencyje, gdy Imperatorowa Rossyjska, odkryła to wszystko królowi. Nie mógł za tém Podoski za tak zbyt śmiałą i zuchwałą pretensyją dobrze być widziany nie tylko od na-

szego, ale i od Petersburskiego dworu. Więc trzeba mu się było oddalić za granicę przynajmniéj do jakiego czasu, pokądby wzniécone tajemnie na zapalenie ojczyzny ognie nie ugasły. Jakoż wyniósł się z Warszawy prymas naprzód do Torunia, potém do Gdańska, daléj do Paryża, gdzie niebył dobrze widziany, na ostatek do Marsyliji. Całe to jego pielgrzymowanie było pod farbą kuracyji, gdzie téż w Marsyliji umarł, tamże pochowany.

Intryga ta prymasa, jako w sekrecie była trzymana, bo i nie chwalebna, tak ja o niej tylko tu dla przestrogi piszę.

Substancyja dziedziczna pozostała po tym panie, dostała się na satysfakcyją kredytorów, których bardzo wielu ex tabula potioritatis pospadało. Kapituła nasza Gnieźnieńska, na kapitałach swojich prymasowi temu powierzonych znacznie szkodowała. Przyszło do téj ostateczności, że kapituła musiała brać

w dług książki, których było około sztuk trzydzieści, a najwięcéj między niemi lékarskich, i kołnierzyki na szyję, których było tuzinów 10. circiter. Należytość zaś na fabrykę kościoła metropolitalnego, z dóbr arcybiskupich, prawem i zwyczajem obwarowane, oraz annus gratiae, ex vacante sede, przepadły.

Przez całe ośm lat konfederacyji Barskiéj, musiało się tak kierować, jak wygnaniec, choć w ojczyźnie swojéj, i musiało się chronić napaści, tak od swojich wspólbraci konfederatów jak od Moskali. Więc, jako wyżéj namieniłem, tułałem się przez ten czas z miejsca na miejsce. Dopadłem do Lubinia. A jednego razu musiało się uciekać na pogranicze z Gniezna, i osieść u O. O. reformatów w Osiecznie. Takie to było w tych czasach uciemiężenie.

Nadszedł potém z Boskiego miłosier-

dzia Rok 1777my, rok pokoju, którego dotąd używamy. Ale że się przez ów czas zamieszek nie mało straciło, postanowiłem zmenażować się, dzieląc prowenta moje, jakie były na cztery części, to jest: dwie części na poratowanie, czyli podźwignienie upadłych fortun, trzecią część na fabryki kościelne, a czwartą część na własną potrzebę.

Pobłogosławił Pan Bóg intencyjom mojim, bo jednak żyję i żyję uczciwie, a co się tycze fabryk kościelnych, do których mię w dzieciństwie mojém już coś pociągało, tych wykonałem dziewięć, albo restaurując, albo z nowa kościoły stawiając, albo przynajmniéj do uposażenia ich jakiegoś się przyczyniając.

Ja przecież wstydzę się, że tak mało dla czci i chwały Boga z darów jego się ofiarowało, aleć téż jeżeli się Stwórcy memu podobać będzie, jeszcze mię na który rok w tém więzieniu życia doczesnego zatrzymać, to, mam gorącą

chęć na kaplicę familiji Łubieńskich, ku jak najpiękniejszemu ozdobieniu jéj jeszcze się przyłożyć, téj zawsze przecież będąc perswazyji, że to za cud mieć trzeba, jak mi reszta dochodów na moją sustentacyą, czyli utrzymanie wystarczyć może. O opatrzności Twórcy mojego!

ROŹDZIAŁ XV.

O Prymasie Ostrowskim.

Za rządów prymacyjalnych książęcia Ostrowskiego, to, co się do mnie stósuje, należy mi podać ku pamięci. Pan ten od początków, kiedy jeszcze w małym był stanie i potém we wszystkich stopniach, przez które postępował, miał serce do mnie. Jak odebrał nominacyją na prymasostwo, powinszowałem mu w Wolborzu, gdzie mię zaraz nie tylko obo-

więzował, ale nawet prawie prosił, żebym sobie przy boku jego wybrał urząd, jaki chcę, i przyjął go; ale ja tego niechciałem przyjąć, tylkom sobie zamówił u pana tego, aby interesowania moje za kim, jeżeli będą sprawiedliwe, względnie przyjmował. A to mi obiecał, i dotrzymał.

Dosyć mi tu wyrazić dwie promocyje na koadjutoryje do mojich kanonii jednę Gnieźnieńską dla ks. Kazimierza Łubieńskiego, z wdzięczności mojéj ku jego familiji, na drugą Kaliską dla ks. Andrzeja Kitowicza. I obie mi dał ten zacny pan mój i łaskawca.

Prymas ten, po uroczystym ingresie do archikatedry, i po wykonaniu juramentu personalnego w kapitularzu, determinował się znieść dwa kościoły spustoszałe, to jest: kolegijatę Ś° Jerzego, i kościół Ś° Stanisława. Rozebrano więc ten ostatni, ale co się tycze kolegijaty Ś° Jerzego, z respektem

winnym godności prymacyjalnéj uparłem się jako kanonik téjże kolegijaty. *Czyż to stać może przyzwoicie JO. Panie*, rzekłem, *żeby ta struktura przez poganów monarchów Polskich na bałwochwalstwo wystawiona, a potém przez najpierwszego monarchę chrześcijanina z bóżnicy na kościół obrócona z ziemią zrównana była? Jak wywracać te mury„ w których piérwszy wyznawca wiary świętéj Mieczysław I. chrzest podobno przyjął! Któż lepiéj opowiadać może piérwsze miejsce przyjętéj w kraju Polskim Chrystusowéj religiji, jak te kamienie Lapis de pariete clamabit? które głosem rzetelnym, głosem żywym, od lat prawie tysiąca podają potomności nieodmienną tradycyją.*

Na tę radę moją Prymas: *A któż to zrobi? zkąd koszt? Gdzie fundator?* Odpowiadam: *być to może, że ja przy pomocy Boskiéj.* Do téj rezolucyji pobudką mi było ekonomika moja, potém powinność kapłańska jako kanonikatéj

kolegijaty. Naostatek takie trafunkowe napomnienie: Kiedym jednego razu do katedry na powinność koło téj kolegijaty przechodził, kamień z wierzchu facyjaty urwał się, padł na ziemię, i podtoczył się pod nogi moje. Takowy przypadek tchnął mię napomnieniem świętém, żebym jako starozakonny Jakób w piśmie świętém: *Erexit lapidem in titulum,* wskrzesił tytuł tego domu świętego. Bóg zaś tak pobłogosławił chęciom mojim, które zapalił, że we dwie lecie, stanęła taka, jaka się dziś daje widzieć, kolegijata. O daj to Boże! żeby w tym stanie wiekami zachowana była!

Powinna tu brać rozumna ciekawość rodowitych Polaków i cudzoziemców, co za pobudkę miano, że zaraz od samych początków wiary świętéj w Polsce, poświęcono tę lechową bóżnicę na kościół pod tytułem Ś$\underset{-}{^{o}}$ Jerzego? Ja na to przyznaję się, że nie umiem odpowiedzieć z

niniejszych kronikarzów i dziejopisów polskich, których na ten koniec zwartowałem. Ale jako domniemania o wszystkich początkowych rzeczach (zwane prawie praesumptiones fortes) są przyjęte u wszystkich narodów, tak bierz miarę czytelniku w téj ciekawości z mego zdania, które ci otwiéram.

Ś. Jerzy w kościele wschodnim w szczególném był i jest dotąd poszanowaniu, a kraje Greckie miały zawsze tego świętego za wodza, protektora, i patrona wojsk i krajów swoich. Zakony świeckie, jako to ów Tymplaryjuszów i dzisiejszy Maltański szczególne także do niego miewały nabożeństwo.

Za tym przykładem, jak się zdaje, idąc Mieczysław 1szy, aby wiarę chrześciańską pomnożył, obrał sobie i rodowi swemu polskiemu, za najpierwszego patrona Jerzego świętego, jemu więc tę bałwochwalnicę Lecha i następ-

pców Lecha na kościół pierwszy w Polsce poświęcił. Aby jednak to moje zdanie nie na samém tylko domniemaniu, presumpcyji i konjekturze oprzeć, jako ten monarcha obrał sobie i państwu swemu Ś° Jerzego za patrona, dowodzę téj prawdy, dwiema przywilejami od następców jego książąt polskich kościołowi metropolitalnemu gnieźnieńskiemu danemi, w archiwum kapitularnym do dzisiaj zachowanemi (a) a, na których to przywilejach, nie orzeł, nie inszy obraz, ale na pieczęciach ich, wyraz Ś° Jerzego jest wyciśniony. Co zaś szczególniejsza, że na pieczęci jednego z tych dwóch przywilejów, takie bez wszelkiéj odmiany żywe piętno jest, jakie jest w samym starodawnym obrazie tego patrona, w kolegijacie i ółtarzu jego, tak dalece, że zgadnąć

(a) Niewiadomo nam, czyli te przywileja dotąd się dochwały. P. W.

trudno, czyli obraz ółtarzowy służył za abrys do pieczęci na przywileju, czyli pieczęć przywilejowa służyła za abrys do wymalowania obrazu ółtarzowego?

Ta moja uwaga nigdy przedtém od nikogo nie miana napełniła mię pociechą i utwierdzila mię w tém, że Ś. Jerzy jest najpierwszym państw polskich patronem.

Przy tak ważnych powodach mogłemże dopuszczać rozwalin tego świętego domu? Pan najwyższy całego świata, dawca wszystkiego, przyjął łaskawie od poddańczuka swego to dzieło, ten żołd, tę ofiarę, kiedy w kolegium ks. ks. wikaryuszów, które tuż stoji przy téj kolegijacie, słyszano podczas reparacyi jéj przedziwne, melodyjne śpiewania i głosy, przededniem. O tém także zeznaje ks. Szymon Kulczewicz wikary, świadek na uszy swoje téj niebieskiéj harmoniji. Drugi także wikary

powiadał mi, że stojąc w sieni swojéj słyszał po rusztowaniach mularskich około tego kościoła, niby chodzące osoby, rękami poklaskujące, jakie to poklaskiwania, zwyczajnym są znakiem radości, wesela i ukontentowania, a ja niegodny tego dzieła aktor mówię: Niech to będzie na Boską chwałę, i na uczczenie S°. Jerzego: Te deum laudamus.

Pod rządem wspomnionego wyżéj prymasa Ostrowskiego, powstała burza na kapituły kadetralne. Ks. Naruszewicz, exjezuita, biskup koadjutor smoleński, podał do Króla i Rady nieustającéj notę z propozycyjami, aby prałatom i kanonikom, na usługach Ojczyzny zostającym, wszystkie zasługi i salaria, za msze i anniversarze, z skarbu kapitulnego wypłacano, choć nie przytomnym tak, jak gdyby oni aktualnie przy swojich katedrach mieszkali. Notę takową Rada nieustająca do wszystkich

kapituła rozesłała, i na nie odpisać zaleciła. Padł na mnie staruszka los, abym od mojéj kapituły odpisał na tę notę królowi i radzie; ułożyłem więc od niéj odpowiedź, za którą mi kapituła dekretem swojim zapisała podziękowanie; a król z radą odrzucił propozycyją księdza Naruszewicza, jako krzywdzącą prawa kościelne.

Prymas ten Ostrowski, o którym tu mowa, wsławił się przez zaprowadzoną do dóbr arcybiskupich ekonomikę i fabryki znaczne, na które miliony wyłożył, między któremi górę biorą pałac w Wolborzu i pałac dla prymasów w Warszawie: mojém zdaniem przyzwoitsze pompie, i wspaniałości monarchów, niżeli skromności biskupów. Kościoły postawił dwa; jeden w Wolborzu, drugi w Skwierniewicach, na kształtny bardzo sposób. Obadwa kosztem wielkim.

Chcąc wzmocnić i poratować zdro-

wie swoje, utracił ten prymas życie za granicą, w Paryżu przy lékarstwach sławnéj tamecznéj akademiji doktorów i tamże w Paryżu jest pochowany. Testament własnoręczny w Senacie Frankfortskim autoryzowany, lubo od sukcessorów jego zadysputowany, w Trybunale i w Radzie nieustającéj sprawiedliwie przyjęty został.

Pan ten, z chudego pachołka od burki konfederackiego towarzysza przyszedł do purpury, i osiadł krzesło najbliższe boku i tronu królewskiego. To go jednak w pychę nie wynosiło, ale owszem z pokory nie taił on małego przeszłego stanu swego, i często go głosił.

Ostrowski prymas każdemu był przystępny, każdego otwartemi rękoma przyjmował. Nikogo od stołu swego niewyłączał; czy to był szlachcic ubogi, czy pleban, czy wikary, miał stołek, miał honory i objad u stołu pańskiego, a kiedy godzinę jego minął, zaraz wołał:

dajcież mu wszelką wygodę. Bywało to, że staruszka kapłana, obok siebie na kanapie sadzał, i głowę mu nakrył, i wstawać mu nie pozwalał, choć sam stał, albo chodził.

Niemiał ten pan nauki, ani umiał prawa, ani teologiji, ani języków (tylko cós troche); nie postał ani we Włoszech ani w Francyji (dopiero po śmiérć), ale był bardzo czynny, sprawny (a to go było wziętym uczyniło u kardynała Lipskiego, i Załuskiego krakowskich biskupów); był we wszystkiém przezorny, mowny i męszczyzna przystojny, żywy, i dorodny, a w ekonomiji królem mógł być nazwanym, na którą wiele łożył, i z niéj wiele pożytkował, bo inaczéj z zwyczajnych intrat nigdyby był nie wystarczał.

Mądrym się zdawał, niebędąc nim w gruncie, a tego nikt nie postrzegł. Nie będąc uporny, zdawał się przystawać na wszystko, a przystając na wszy-

stko, jemu samemu zdania jego przyznawać należało, bo się całe wydawało, jakby jego własne były, i od nikogo nie pożyczane. A ten humor jego nie wydawał się mieć jaką obłudę, bo też w saméj rzeczy ten Pan był szczéry i otwarty; a jeżeli się kto na nim zawiódł, to, to nie była wina jego, ale wina podrzędnych jemu oficyjalistów. Te to przymioty wyprowadziły stopniami książęcia Ostrowskiego na szczyt prymacyjalnéj godności.

W téj wolności, którą każdy kanonik powinien mieć do swego biskupa, i w téj respektującéj poufałości, mówiłem mu jednego razu prywatnie; „*Mości książe, te pyszne fabryki, te niezmierne koszta, na które łożysz, służą pompie światowéj ale nie chwale Boskiéj, nie oblubienicy W. ks. Mości kościołowi Gnieźnieńskiemu.* Na co w tenczas prymas zamilkł, ale potém w kapitularzu Gnieźnieńskim publicznie w gronie całéj ka-

pituły wymawiał mi, z wszelką jednak łagodnością, to moje siebie napomnienie, przydając z uśmiechem, że o tym swojim kościele ma pamięć *).

Po śmierci księdza Ostrowskiego postąpił na prymasostwo książe Michał Poniatowski, biskup płocki, brat królewski.

(Tu koniec kładziemy niniejszemu dziełu, które autor do końca życia swego pisał. Nie sądzimy przecież, aby ostatnie lata jego pamiętników zajmować czytelnika mogły). Wydawca.

*) Tyle ta moja rada sprawiła przy łasce Boskiéj nie importune, ale opportune, że wieże kościoła metropolitalnego kosztem prymasa tego miedzią pokryte zostały.

W drukarni Henryka Richtera.

[illegible]